

ASHOKA MÓWI



Rozmowy Ashoki
Inspiracje na **Nowy Rok 2015**



Szanowni Państwo,

Z przejęciem i nadzieją przekazujemy Państwu tę publikację, jako nasz upominek na Nowy Rok.

Jest to zbiór pięciu wywiadów z członkami Ashoki w Polsce, które w minionym roku przeprowadzili absolwenci szkół dziennikarskich, stażyści Ashoki. Publikacja wydaje się skromna graficznie, ale myśli, doświadczenia i działania osób, z którymi rozmawiali stażyści, są bezcenne.

Chcemy zaproponować Państwu lekturę zapisu tych kilku rozmów, aby dać dodatkowy materiał do refleksji, może też odrobinę inspiracji na 2015 rok, a na pewno nadzieję i spory zastrzyk wiary w ludzi i lepszy świat.

Te wywiady to jedynie przedsmak wspaniałego potencjału członków Ashoki w Polsce. Do grona członków Ashoki Polska wybrano dotychczas 74 osoby. Każda z tych osób jest wyjątkowa, a spotkanie z nią jest dużym przeżyciem i cennym doświadczeniem.

Jeśli nasyceni karpim i makowcem nabiorą Państwo apetytu na więcej Ashokowych myśli w 2015 roku, zapraszamy do kontaktu z nami.

Zawsze są Państwo mile widziani w krainie "światozmieniaczy" Ashoki.

Dobrego Nowego 2015 Roku!

Agata Stafiej-Bartosik

Prezes Zarządu

Fundacja Ashoka Innowatorzy dla dobra publicznego



SPIS NOWOROCZNYCH ROZMÓW Z POLSKIMI CZŁONKAMI ASHOKI



z Piotrem Pawłowskim rozmawia Angela Greniuk.....s. 4



z Idą Karpińską rozmawia Remigiusz Konieczka..... s. 10



z Krzysztofem Czyżewskim rozmawia Anna Galewska..... s. 20



z Barbarą Sadowską rozmawia Angela Greniuk..... s. 28



z Kubą Marchewiczem rozmawia Beata Kołakowska.....s. 34

PIOTR PAWŁOWSKI



Ludzie sprawni nie mają odgadywać, jak funkcjonujemy ani posłkować się przekazami medialnymi, w których o niepełnosprawności zwykle mówi się przez pryzmat bólu, cierpienia i charytatywności – głównie o konieczności zbiórek pieniędzy. Najważniejsze dla osób z niepełnosprawnością jest spojrzenie na nie jak na ludzi, którzy mają możliwości, a nie tylko ograniczenia. To jest ważne zadanie, nie tylko dla „Integracji”.

Rozmawiała Angela Greniuk

Angela Greniuk: Kogo Pan widzi, gdy patrzy Pan w lustro?

Piotr Pawłowski: *Widzę człowieka zadowolonego, ale nie do końca akceptującego to, co dzieje się wokół niego. Z jednej strony żyję w czasach, które służą ludziom. Jednak z drugiej, martwię się z dwóch powodów. To, co mogłoby się dobrego stać nie dzieje się, bo ludzie odpowiedzialni za pewne sprawy, w wielu przypadkach, nie do końca podejmują trafne decyzje. Inną przyczyną jest grupa osób z niepełnosprawnością, która nie wie lub nie zdaje sobie sprawy z tego, jak można wykorzystać własny potencjał, jak należy patrzeć na życie przez pryzmat swoich możliwości, a nie ograniczeń. W ten sposób utrwalają się stereotypy.*

AG: Obecnie jest Pan zadowolonym człowiekiem, ale chyba musiał Pan przejść długą drogę, by zaakceptować siebie i zrozumieć rzeczywistość po wypadku - skoku do wody, który spowodował złamanie kręgosłupa.

PP: *Wydaje mi się, że każdy człowiek podejmuje wysiłek akceptacji siebie takim, jakim jest, i zastanawia się, jak ułożyć swoje życie. Zazwyczaj pojawia się taki moment, kiedy trzeba podjąć decyzję – „tak, akceptuję to” i wtedy należy próbować robić wszystko co możliwe, aby osiągnąć obrany cel. Oczywiście, uwzględniając własne ograniczenia i słabości. Niestety, te ograniczenia bardzo często przeszkadzają lub utrudniają podjęcie właściwej decyzji. Gdy jako szesnastolatek po wypadku usłyszałem od lekarzy, że będę musiał resztę życia poruszać się na wózku, nie byłem w stanie tego zaakceptować. Mówię o*

tym z perspektywy sportowca, który swoje życie budował na sprawności fizycznej. Jeśli brakuje takiego głównego, niezbędnego atrybutu, by móc sprawnie funkcjonować, to wszystko przestaje mieć jakikolwiek sens. W głowie młodego człowieka trudno jest szukać akceptacji rzeczywistości. Trudno zdać sobie sprawę z tego, że może być dla mnie jakaś inna droga w życiu niż ta zaplanowana przeze mnie. Jednak mogę zaryzykować tezę, że wypadek pomógł mi znaleźć sens w życiu. Szybciej dorosłem,

Wydaje mi się, że każdy człowiek podejmuje wysiłek akceptacji siebie takim, jakim jest, i zastanawia się, jak ułożyć swoje życie.

Zazwyczaj pojawia się taki moment, kiedy trzeba podjąć decyzję – „tak, akceptuję to” i wtedy należy próbować robić wszystko co możliwe, aby osiągnąć obrany cel.

poukładam sobie życie. Ale mam taką " rogatą duszę" - mój znak zodiaku to Baran - i nie umiem żyć bez ludzi. To dla mnie kluczowe. Złamałem kręgosłup w czasach, gdy niepełnosprawnych nie było widać na ulicach. Zrozumiałem, że skoro ludzie na mnie patrzą, to widocznie czegoś się w życiu nie nauczyli i potrzebują mnie do tego, aby mogli coś zrozumieć. Znalazłem więc misję - mam informować świat o niepełnosprawności. Być edukatorem. Takie podejście do życia sprawiło, że wychodzenie z domu nie musiało odbywać się nocą, pod hasłem: „niech mnie nie widzą”. Do dziś, kiedy ktoś się na mnie patrzy, cieszę się, że znalazłem się w zasięgu jego wzroku, ponieważ mogę doprowadzić do ciekawych wyobrażeń. To jest przewrotne tłumaczenie, ale pomogło mi funkcjonować. Czasami słyszę: „Piotr, ale ty sobie dajesz radę, ty jesteś dzielny”. Wiem, że jestem dzielny. Wiem, jaka jest tego cena, ale wiem też, że jest to możliwe.

AG: Po wypadku został Pan w domu. Co z nauką i ze szkołą?

PP: Szkoły nie były wtedy jeszcze dostępne dla osób z niepełnosprawnością, więc nauczyciele przychodzili do mnie do domu. Do matury nic innego nie robiłem, tylko stukiałem jak dzięcioł. Mój główny problem polegał na tym, że na liście obecności byłem tylko ja. Inaczej mówiąc, nie miałem

określiłem pewne wartości. To jest niesamowita rzecz. Kompletnie nie potrafię sobie teraz wyobrazić tego, że miałbym nie być szefem „Integracji”, bo zostałbym koszykarzem, który w wieku 30 lat narzekałby na stawy kolan lub że miałbym prowadzić własny warsztat samochodowy.

AG: Wiele osób z niepełnosprawnością ma problem z wychodzeniem z domu, bo ich niepełnosprawność ściągą wzrok innych ludzi, który często jest raniący. Czy ma Pan podobne doświadczenia?

PP: Spojrzenia zawsze ranią, jeśli są nieszczerze i współczujące. Na początku myślałem, że jeśli zamknę się w domu – w „złotej klatce”, będę malował, miał komputer albo zostanę tłumaczem, to jakoś fajnie

możliwości, aby nauczyciele mnie nie pytali. Z jednej strony zdobyłem ogromną wiedzę, ale z drugiej straciłem kontakt z rówieśnikami. Nie wiedziałem, jakie książki czy muzyka są w modzie, jakie zachodzą relacje między nastolatkami, bo na prywatkach i spotkaniach nie bywałem. Ten aspekt stosunków międzyludzkich musiałem nadrabiać na studiach. A to jest bardzo trudna rzecz do nadgonienia. Dlatego tak zachęcam, aby ludzie z niepełnosprawnością wychodzili z domów. Zamknięcie się z rodzicami po wypadku jest najgorszym z możliwych rozwiązań. Obecnie świat oferuje mnóstwo ciekawych i dostępnych możliwości dla osób z niepełnosprawnością, tylko trzeba umieć po nie sięgnąć, rozważyć je, dopasować się, zgodnie ze swoimi możliwościami.

AG: Na studiach zaczął Pan podróżować, m.in. do Francji i Włoch. Jak Pan wspomina te wyjazdy, mimo że w latach 80. praktycznie nic nie było przystosowane do Pana potrzeb?

PP: Przede wszystkim liczył się wspólny wyjazd. W sprawnej grupie moje ograniczenia znikwały i wtedy nie było żadnych przeszkód. Gdy mieliśmy gdzieś wejść po schodach, a obok mnie znajdowało się 20 sprawnych chłopaków, to nie było problemu. Jeśli chciałem spać pod namiotem i miałem chłopaków, którzy mnie wnieśli do środka – również nie było problemu. To jest związane z zaufaniem. Wybierałem się w podróż pełną widocznych dla mnie barier, kompletnie w ciemno, ale wiedziałem, że jadę z ludźmi, którzy zapewnią mi bezpieczeństwo. Wtedy podejmowanie decyzji było dużo prostsze. Dla mnie to była pewnego rodzaju lekcja wchodzenia w dorosłość, samodzielność, mimo że niewiele rzeczy sam mogłem i mogę zrobić. A jednak. Skończyłem studia, sprzedałem kilka obrazów za dobre pieniądze, kupiłem komputer - na początku Internetu w Polsce. Podjąłem studia doktoranckie, które jednak przerwałem, ponieważ nie wyobrażałem sobie siebie jako wykładowcy, człowieka siedzącego przez większość czasu w książkach.

Zrozumiałem, że skoro ludzie na mnie patrzą, to widocznie czegoś się w życiu nie nauczyli i potrzebują mnie do tego, aby mogli coś zrozumieć.

Znalazłem więc misję - mam informować świat o niepełnosprawności.

AG: I wtedy powstał magazyn „Integracja”. Co Pana skłoniło do stworzenia takiego pisma?

PP: To był szalony pomysł. W latach 90. nie było żadnego czasopisma związanego z tematyką niepełnosprawności, nie było dostępu do potrzebnych informacji. Magazyn skierowany do osób z niepełnosprawnością był nowością. Miałem 28 lat, byłem 12 lat po wypadku. Spotkałem się z moim kolegą, Bolkiem Bryńskim, który jest jeszcze bardziej niesprawny niż ja. I tak podczas rozmowy przy piwie pojawił się pomysł – zakładamy gazetę! I tak zrobiliśmy. Potem Bolek wyjechał, a ja zastanawiałem się, jak zrobić szum wokół niej. Ten magazyn wyglądał inaczej 20 lat temu niż teraz. Dziś obchodzi 20-lecie. Integracja jako organizacja stała się liderem. Mamy kilka tematycznych

serwisów internetowych, program telewizyjny "Misja Integracja", Centra Integracja, w których pomagamy osobom z niepełnosprawnością znaleźć pracę i przygotowujemy pracodawców do zatrudnienia takich osób. Organizujemy wydarzenia, konkursy, szkolimy różne instytucje pod kątem niepełnosprawności. Współpracuje z nami ponad 100 osób podczas różnych wydarzeń, w tym sponsorzy, partnerzy, wolontariusze. Wydaje mi się, że „Integracja” jest ważnym elementem w życiu społecznym. A jednak obserwuję brak zaangażowania ludzi z niepełnosprawnością w rozwiązywanie problemów, z którymi się borykają, a o których mówią osoby pełnosprawne. To pokazuje, że nasze środowisko nie jest zbyt aktywne.

AG: Czy w takim razie ma Pan jakąś wizję zmiany postaw osób z niepełnosprawnością w przyszłości?

PP: Wszystko zależy od nas. Sprawniejsza część środowiska szybciej się przystosowuje do naszych potrzeb. Gdy jeżdżę na różne spotkania, widzę, jak osoby z niepełnosprawnością funkcjonują. To po

Chciałbym, żebyśmy sami nie blokowali sobie drogi do podejmowania takich działań, które sprawiają, że niepełnosprawność staje się czymś drugorzędnym.

naszej stronie jest więcej do zrobienia. To my musimy się odblokować i wykorzystać wszystko, co jest dostępne dookoła, aby móc normalnie żyć i działać. Oczywiście istnieje część osób, które nigdy nie pójdą do szkoły lub pracy, bo nie pozwala im na to niepełnosprawność. Ale jest też duża grupa ludzi mających możliwości, aby podjąć pracę. Ich nastawienie do życia zależy od rodzin i przyjaciół, którzy powinni im stwarzać odpowiednie warunki do samodzielnego rozwoju. Jednak przede wszystkim wiele zależy od nas samych – musimy pokonać różne bariery w swoich głowach. To jest najtrudniejsze.

Chciałbym, żebyśmy sami nie blokowali sobie drogi do podejmowania takich działań, które sprawiają, że niepełnosprawność staje się czymś drugorzędnym.

AG: Rozumiem, że Pana słowa mają odzwierciedlenie w bieżących i przyszłych działaniach „Integracji.”

PP: Często powtarzam: gdy się buduje statki, to nie w celu zatrzymania ich w porcie tylko po to, żeby mogły wypłynąć. W działaniach „Integracji” o to właśnie chodzi. Osoby z niepełnosprawnością nie powinny być w bezpiecznych, „cieplarnianych” warunkach w domu. Trzeba próbować zmierzyć się z tym, co jest na zewnątrz. Rozwijając użytą metaforę, istnieje kilka prędkości. Pierwszą z nich mają statki, czyli osoby z niepełnosprawnością, a drugą - system. Założyciel Ashoki, Bill Drayton, jest genialny, kiedy mówi, by nie dawać komuś wędki lub ryby - tylko zmienić całe rybołówstwo. Mamy absolutnie niewłaściwy system w obszarze „rybołówstwa”, dlatego równolegle jest duże zapotrzebowanie na

poprawę. Nasz rząd traktuje sprawę niepełnosprawności marginesowo. Brakuje dobrych ustaw, przepisów i ludzi, którzy nadzorują działania w różnych obszarach.

Jest jeszcze trzecia prędkość - reszty naszego społeczeństwa. Ludzie sprawni nie mają odgadywać, jak funkcjonujemy ani posiłkować się przekazami medialnymi, w których o niepełnosprawności zwykle mówi się przez pryzmat bólu, cierpienia i charytatywności – głównie o konieczności zbiórek pieniędzy. Najważniejsze dla osób z niepełnosprawnością jest spojrzenie na nie jak na ludzi, którzy mają możliwości, a nie tylko ograniczenia. To jest ważne zadanie, nie tylko dla „Integracji”.

Założyciel Ashoki, Bill Drayton, jest genialny, kiedy mówi, by nie dawać komuś wędkę lub ryby - tylko zmienić całe rybołówstwo.

AG: Chciałabym teraz zmienić temat i porozmawiać o Pana drodze do małżeństwa. Czy w pierwszych latach po wypadku nabyta niepełnosprawność w jakiś sposób zaburzyła Pana postrzeganie siebie jako mężczyzny?

PP: Myślę, że nie. Wózek w byciu mężczyzną kompletnie nie przeszkadza, o czym przekonałem się po wypadku i zakładając 15 lat temu rodzinę. Oczywiście złamanie kręgosłupa jest pewnego rodzaju udręką, ale dziękować Bogu, mam siły potrzebne do życia i działania. I w tym momencie pojawia się mądrość wojownika - przede wszystkim trzeba wygrać ze sobą. Wtedy człowiek staje się mocniejszy, a świat dookoła nie jest tak straszny.

AG: Od 15 lat jest Pan mężem, ale czy odkładał lub negował Pan myśl o małżeństwie z racji swojej niepełnosprawności?

PP: Dziewczyny od zawsze mnie interesowały. Nie myślałem o swojej niepełnosprawności, tylko myślałem o zabezpieczeniu materialnym rodziny, jakości życia i odpowiedzialności za kogoś.

AG: Czyli nigdy pan nie przekładał swojej niepełnosprawności na życie?

PP: Nie. Czasami wydaje mi się, że tej niepełnosprawności nie widzę.

AG: Czy może Pan opowiedzieć o tym, w jaki sposób poznał Pan swoją żonę?

PP: Z Ewą poznałem się w ciekawych okolicznościach, bo na ślubie znajomych, u których oboje byliśmy świadkami. Podczas tego wieczoru coś się w nas zaiskrzyło, tak jak między chłopakiem i dziewczyną. Moja żona zdecydowanie szybciej podjęła decyzję o byciu razem. Ja, niestety, bardzo ostrożnie postępowałem, z jednego powodu. Jako facet chciałem zapewnić żonie opiekę, chciałem być odpowiedzialny za dobre funkcjonowanie domu. Dla mnie to było kluczowe - poukładać sobie życie,

znaleźć pracę, mieć środki finansowe. Kompletnie nie zaakceptowałbym takiego stanu, że jestem biedny, niepełnosprawny, żyję z renty i mieszkam u rodziców. Po trzech, czterech latach mojego oporu, zauważyłem światło w tunelu, czyli możliwość samodzielnego funkcjonowania mimo niepełnosprawności. Obok magazynu "Integracja" i rozbudowy całej organizacji pojawił się też program telewizyjny „Misja Integracja” i stypendium z Ashoki. Zaczęłam malować i sprzedawać obrazy. Czyli pojawiły się podstawy zapewnienia bezpieczeństwa małżonce - dla mnie było to szalenie istotne.

AG: Jaki jest Pana największy sukces w życiu - z czego jest Pan najbardziej zadowolony?

PP: Prywatny sukces to na pewno rodzina, małżeństwo. Zawodowy – „Integracja”, która ma już 20 lat. Powiem szczerze, że nie było łatwo. Prowadzenie organizacji pozarządowej w Polsce, jej utrzymanie przy niestabilnych środkach finansowych, nie do końca poukładanych partnerstwach, relacje NGO–rząd sprawiają, że jest to naprawdę arcytrudne wyzwanie.

AG: A co jest dla Pana najważniejszą wartością?

PP: Jestem człowiekiem wierzącym. Dla mnie kluczowa jest umiejętność akceptacji tego, co mam i co otrzymuję, a nie marudzenie, krytykowanie czy żal do Pana Boga, że czegoś nie mam. To jest wiara i zaufanie, że jestem w dobrym miejscu i sytuacji. Mam w życiu patrzeć na siebie przez pryzmat tego, co mogę zrobić. Wierzę, że wsparcie i pomoc na pewno będą – czuję to. Trudno to nazwać wartością, ale jest to sposób na życie, którym się kieruję.

Piotr Pawłowski — członek Ashoki, założyciel i prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Integracji oraz Fundacji Integracja. Twórca i redaktor naczelny magazynu „Integracja” oraz portalu niepełnosprawni.pl, założyciel sieci Centrów Integracja, pomysłodawca wielu kampanii społecznych. Inicjator powstania Koalicji na Rzecz Osób z Niepełnosprawnością i jej wiceprezes. Więcej o Piotrze na <http://www.integracja.org/o-nas/piotr-pawlowski/> oraz <http://poland.ashoka.org/fellow/piotr-pawlowski>



IDA KARPIŃSKA



Mówimy do kobiety: „Słuchaj, jesteś fajna, chcesz być modna, chcesz być cool, to musisz raz w roku robić badanie cytologiczne”. I to, co chcemy jako Kwiat Kobiecości spowodować, to to by w ich myśleniu coś się zmieniło, by nie do końca czuły się fajnie w momencie, kiedy nie pójdą do ginekologa raz do roku. Żeby miały z tyłu głowy, że jak będą siedzieć u fryzjera, to pomyślą „Fajnie wyglądam, ale już dawno cytologii nie robiłam”.

Rozmawiał Remigiusz Konieczka

Remigiusz Konieczka: *Miała pani kontakt z branżą filmową. Jest pani wymieniona w obsadzie filmu „Bandyta”.*

Ida Karpińska: Ja nie grałam w „Bandytce”. Wywodzę się z tego świata, ponieważ pracowałam jako charakteryzator, stylistka, wizażystka na planach filmowych, zdjęciowych, stąd moje nazwisko w napisach końcowych.

RK: Dużo tego było?

IK: Trochę tak. To było jakiś czas temu i od tego tak naprawdę wszystko się zaczęło. Ta praca pomogła mi zbudować Kwiat Kobiecości. Pierwszym krokiem, jaki zrobiłam po zakończeniu leczenia, było spotkanie z dziennikarkami, które zajmowały się problematyką zdrowotną w pismach kobiecych. Zadałam im pytanie, dlaczego tak mało mówi się i pisze na temat raka szyjki macicy. I usłyszałam, że temat ten jest niemedialny. Dziewięć lat temu kobieta od pasa w dół była po prostu przezroczysta. Kobiety nie potrafiły jeszcze wtedy rozmawiać o tak intymnych dla nich sprawach. Rozmowa z dziennikarkami bardzo mi pomogła.

RK: W jaki sposób?

IK: Wiedząc jak funkcjonują media, bo w nich pracowałam, wiedziałam, w jaki sposób mogę zwrócić uwagę na problem raka szyjki macicy. Dałam mediom swoją historię. Opowiedziałam o chemioterapii, naświetlaniach, całym etapie leczenia, również o lęku i strachu przed śmiercią. Miałam tylko jeden warunek. Na końcu artykułu prosiłam o zamieszczenie mojego numeru telefonu. Szczerze mówiąc, nie liczyłam, że ktokolwiek zadzwoni. Jednak tuż po ukazaniu się pierwszego artykułu, telefon dzwonił dwadzieścia cztery godziny na dobę.

RK: A od tamtych, pierwszych wywiadów, nie ma pani już dość opowiadania swojej historii?

IK: *Swoją historię potraktowałam jako pewnego rodzaju misję. Zmagając się z chorobą spotkałam wiele kobiet, które stoczyły walkę z rakiem i wygrały ją. Moja historia również skończyła się happy endem, ponieważ po dziesięciu latach mogę powiedzieć, że udało mi się wygrać. Pozytywnym skutkiem ubocznym mojej choroby jest Ogólnopolska Organizacja Kwiat Kobiecości.*

RK: Zatem jaka jest pani historia?

IK: *Okres choroby był dla mnie bardzo trudny. Ale się udało. Znalazłam sposób na to, by radzić sobie z chorobą. Starłam się znaleźć pozytywne aspekty w walce o życie i na nich budowałam swoje wyjście z choroby.*

RK: Wróćmy do początku. Jest pani wizażystką, pracuje pani w mediach, życie zawodowe się układa, życie rodzinne również. Zaczęliście układać je sobie wraz z mężem po przeprowadzce z Gdańska do Warszawy...

IK: *To tak dawno było (śmiech). Tak, tutaj w Warszawie braliśmy ślub. Zaczęliśmy układać sobie życie. Ja również zaczęłam sobie dobrze radzić w swojej pracy. Chcieliśmy, aby to wszystko się poukładało. Najpierw mieszkanie, dobra praca. I fajnie się to wszystko toczyło. Do pełni szczęścia brakowało nam tylko dziecka. I wystarczyła chwila, by plany runęły. Poszłam do lekarza na, jak mi się wydawało, rutynowe badanie cytologiczne, które zresztą wykonywałam regularnie raz w roku. Okazało się, że wykryto u mnie nowotwór. Nie chciałam w to wierzyć. Miałam 34 lata. Poszłam do lekarza, do którego chodziłam systematycznie. Któregoś dnia zrobiłam badanie, wchodzę do gabinetu, a lekarka mówi do mnie: „Pani Ido, mamy problem. Podejrzewamy u pani raka szyjki macicy.” Przyznam szczerze, że mnie to powaliło. Powiedziałam jej, że to niemożliwe, bo badam się systematycznie, bo mnie nic nie boli, szykuję się do tego by być mamą, i ja, w takim wieku, mam mieć raka? To było takie totalne wyparcie. Obraziłam się na nią. Powiedziałam jej, że bzdury opowiada, a ja znajdę sobie odpowiedniego lekarza. Zrobiła mi jeszcze biopsję, która potwierdziła nowotwór, a ja sobie wbiłam do głowy, że to absolutnie nie jest możliwe, ponieważ pomylili próbki, które pobrali. Moje zaufanie do lekarzy totalnie siadło.*

**Dziewięć lat temu
kobieta od pasa w
dół była po prostu
przezroczysta.**

**Kobiety nie potrafiły
rozmawiać o tak
intymnych sprawach.**

RK: I wtedy wysłała pani próbki do badania poza granice Polski.

IK: *Wtedy już tak się zezłościłam, że znalazłam ginekologa ukierunkowanego na nowotwory, żeby udowodnić wszystkim, że mnie to nie dotyczy, że to wszystko co lekarze opowiadają w Polsce, to bzdura. Pobrane zostały dwa wycinki. Jeden został w Centrum Onkologii na Ursynowie, a drugi poleciał do Szwecji. Po dwóch tygodniach przyszły wyniki z jednego i drugiego miejsca. Wtedy już nie mogłam siedzieć i wmawiać sobie, że mnie to nie dotyczy...*

RK: I kiedy do pani dotarło, że to nie pomyłka?

IK: *Właśnie wtedy, gdy dostałam obydwu wyniki. Usiadłam i powiedziałam sobie: „Koniec. Trzeba żegnać się ze światem.” Wtedy nowotwór kojarzył mi się ze śmiercią.*

RK: Chyba większości osób kojarzy się ze śmiercią.

IK: *Tak, bo to jest stereotyp, który jeszcze funkcjonuje. Rak, to wyrok i koniec. Piszemy testament.*

RK: I pani spisała swój testament?

IK: *Przez tydzień, może półtora leżałam w łóżku i się poddałam. Mówiłam sobie: „-Co mi zostało? Nic. Czekam.” Wtedy dopadła mnie depresja. Nie chciało mi się jeść, pić ani wstawać z tego łóżka. A obok mnie mąż, który szukał sposobu jak mi pomóc.*

RK: Jak mąż zareagował na wieść o pani chorobie?

IK: *Podziwiam go za to, jak bardzo mnie wspierał. Ogarniał za mnie to wszystko, z czym ja sobie nie radziłam. Podeszedł do tematu zadaniowo – jak to facet. Oczywiście były i gorsze momenty: w czasie gdy trwała chemioterapia a mój stan był fatalny, kiedy przestałam jeść i strasznie chudłam, wymiotowałam na okrągło, nie wytrzymał, zamykał się w łazience i płakał. Bał się, że nie uda mi się wygrać z chorobą. Ale poza tymi chwilami był bardzo twardy. Jeździł do pracy, a jak miałam chemię, to zostawiał mnie w szpitalu. Jechał z powrotem do pracy, przyjeżdżał i zabierał do domu. Ogarnął całą sytuację. Zdał egzamin na szóstkę. Wiem, że niektórzy mężowie nie radzą sobie, sytuacja przerasta ich, pakują walizkę i odchodzą.*

Po prostu któregoś dnia usiadłam na łóżku i powiedziałam sobie:

„Kurczę. Mam 34 lata i to nie choroba będzie mi dyktowała warunki.

Nie będzie mi mówiła, czy mam żyć i jak mam żyć.”

RK: I co takiego się stało, że po tygodniu leżenia wstała

pani z łóżka?

IK: *Nie wiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu któregoś dnia usiadłam na łóżku i powiedziałam sobie: „Kurczę. Mam 34 lata i to nie choroba będzie mi dyktowała warunki. Nie będzie mi mówiła, czy mam żyć i jak mam żyć. Jesteśmy w XXI wieku. Świat się zmienił i to niemożliwe, by umierać z powodu raka.” Jakaś wewnętrzna siła kazała mi wstać. Od tamtego momentu sprawy potoczyły się już bardzo szybko. Jak wyszłam z łóżka, to razem z mężem zabraliśmy się do pracy. Szykowaliśmy się do operacji. Tylko, że po drodze ubzdurałam sobie, że zachodzę w ciążę. Obojętne mi było czy w sposób naturalny, czy in vitro. Jakkolwiek, ale chcę urodzić dziecko. To była moja wizja - i tylko moja, bo lekarze bardzo szybko sprowadzili mnie na ziemię. Niestety, mój stan był już na tyle zaawansowany, że mogłoby się nam nie udać. Niecałe dwa miesiące później znalazłam się na stole operacyjnym. Operacja była długa, trudna i skomplikowana. Niestety, nowotwór się rozrósł na przewody moczowe, pęcherz, węzły chłonne, były już też nacieki do macicy. Operacja, która miała trwać chwilę, przerodziła się w*

ponad 6-godzinną. Mój mąż czekał pod salą operacyjną i nikt z personelu - ani pielęgniarki, ani lekarze, przez cały ten czas nie udzielali mu informacji, co się o ze mną dzieje.

RK: Operacja się jednak udała?

IK: Tak. Ponieważ rany goiły się dobrze, pozwolono mi dość szybko wrócić do domu. W tym czasie moja mama zrezygnowała z pracy w Gdańsku i przeprowadziła się do Warszawy, aby mnie wspierać i pomagać mi po operacji. Oprócz niej i męża była jeszcze ze mną siostra. Miałam wszystkich bliskich, których potrzebowałam. To było niezmiernie dla mnie ważne. Był to również moment na weryfikację moich najbliższych przyjaciół. Zostali tylko ci, na których wiem, że mogę liczyć. Dziś wiem, że mam wokół siebie tych, na których mogę polegać nie na sto, ale na milion procent.

Po operacji utkwilo mi w pamięci jeszcze jedno bardzo ważne wydarzenie: mój pierwszy spacer dookoła domu. To było takie cudowne uczucie poczuć świeże powietrze. Byłam jeszcze słaba, ale już mogłam się przejść. I potem nastąpił kolejny etap leczenia.

RK: Chemioterapia?

IK: Chemia była słabsza, naświetlanie mocniejsze. To właśnie wtedy mój mąż zawoził mnie z moją mamą lub siostrą do szpitala na onkologię, na chemioterapię dzienną i tam włączano we mnie tę chemię. Przyjeżdżał, odwoził, zawoził, one się mną opiekowały. Wtedy przyszedł ciężki czas, ponieważ zaczęłam odmawiać jedzenia. Byłam zła na lekarzy, że nie dają mi żadnej informacji o tym, jak powinnam się żywić podczas brania chemii. Żadnych wskazówek. Informację na ten temat dostawałam od spotkanych pacjentów. Pomyślałam sobie, że to nie tak powinno wyglądać.

RK: Dopiero koleżanki z pokoju szpitalnego to powiedziały?

IK: Tak jest, ale bardziej z korytarza niż z pokoju. Osoby, które przychodziły na chemię dużo mi mówiły. Miałam słabe żyły, popękały mi i w związku z tym całe ręce były sine. To właśnie podczas tych spotkań dowiedziałam się np. że na żyły najlepsza jest maść z kasztanowca, więc zaczęłam ją stosować. Potem dostałam informację, aby podczas naświetlań stosować siemię lniane, które osłania jelita, a to jest bardzo ważne, bo po naświetlaniach mogą pojawić się dziury w jelitach. Do tego wszystkiego dochodzi zupełnie inny sposób odżywiania. Okazało się, że te spotkania z pacjentami przed gabinetami są dużą skarbnicą wiedzy.

RK: Czy pani, jako pacjentka, czuła się odsunięta przez tych wszystkich ludzi w szpitalu, którzy powinni byli być przy pani?

IK: Trochę pozostawiona sama sobie. Nie ukrywam, że w trakcie chemioterapii i podczas naświetlań, szukałam wsparcia takiej organizacji, która mogłaby pomóc mi dowiedzieć się czegoś więcej na temat choroby, z którą się zmagalam. Ale jak wracałam do domu i wrzucałam

Pomyślałam, że fajnie byłoby, aby powstało coś takiego, jak organizacje amazonek.

Jednak nic takiego w stosunku do osób z rakiem szyjki macicy nie istniało.

w wyszukiwarce słowa „rak szyjki macicy”, to pojawiały się tylko strony medyczne. Artykuły zamieszczane na tych portalach były czasem pisane językiem, którego normalny człowiek nie był w stanie zrozumieć.

RK: I wtedy się zrodziła idea założenia takiej organizacji, jaką dziś jest Kwiat Kobiecości?

IK: *Pomyślałam, że fajnie byłoby, aby powstało coś takiego, jak organizacje amazonek. I amazonki były dla mnie na początku wzorem. Jednak nic takiego w stosunku do osób z rakiem szyjki macicy nie istniało. Zakończyłam leczenie i pomimo tego, że byłam potwornie słaba, bardzo szybko wróciłam do pracy.*

RK: Żeby się odciąć od przeżyć związanych z chorobą?

IK: *Żeby się odciąć, ale też, żeby sobie udowodnić, że mogę nadal normalnie funkcjonować, tak, jak przed chorobą. Wróciłam do pracy i pojechałam na zdjęcia z Januszem Zaorskim do „Lekarza drzew”. Jak stamtąd wróciłam, to zdecydowałam się na samotną miesięczną wyprawę do Indii. Chciałam mieć czas tylko dla siebie i poukładać sobie wszystko w głowie. Tam się wydarzyły różne przedziwne i cudowne historie. Jak wróciłam z Indii, to wiedziałam już, co chcę w życiu robić i w którą stronę pójść.*

*Usiadłam na
schodkach i... nie
wiem co się stało.*

Chyba zasnęłam.

*Trwało to kilka
sekund.*

*Po tym wszystkim,
kiedy wracałam do
Polski, wiedziałam w
którą stronę mam iść i
co mam zrobić...*

RK: Co takiego się w Indiach wydarzyło?

IK: *Jestem osobą wierzącą. Kiedy byłam w Kalkucie, akurat odbywało się święto buddyjskie. Nie jestem buddystką. Weszłam jednak do jednej ze świątyń buddyjskich. Cała była z białego marmuru, bez dachu i bardzo nagrzana. Marmur przez to był bardzo cieputki przez cały dzień. Weszłam tam: zapach, muzyka, mnóstwo ludzi cudownych, kolorowych, poubieranych*

w hinduskie sari. Usiadłam na schodkach i... nie wiem co się stało. Chyba zasnęłam. Albo mój mózg się wyłączył. Osoby, które są buddystami i znają się bardziej na tym niż ja, twierdzą, że to było pewnego rodzaju oświecenie. Trwało to kilka sekund. Po tym wszystkim, kiedy wracałam do Polski, wiedziałam w którą stronę mam iść i co mam zrobić. To, co wydarzyło się później, było niesamowite. W rzeczach, które sobie wymyśliłam i chciałam zrobić, pojawiali się odpowiedni ludzie na mojej drodze. Tak jest do dzisiaj i oby tak zostało.

RK: Czy wtedy już pani wiedziała, że rak jest pokonany?

IK: *Nie. Ta wiedza przyszła dopiero po pięciu latach. Najpierw były badania przez trzy miesiące, potem co roku, potem raz na trzy lata. Ja i tak robię badania co roku, nawet jak lekarz mi ich nie zleci. Wszystko po to, by mieć pewność co do mojego stanu zdrowia. To, że pokonałam raka, od strony medycznej będę wiedzieć po dziesięciu latach. Jeżeli nie będzie nawrotu choroby, to znaczy, że chorobę mamy opanowaną. Wiedziałam, że jest dobrze mniej więcej po czterech, pięciu latach. Choroba nauczyła mnie słuchać swojego organizmu. Jak człowiek zachoruje na raka, to pewne sfery w głowie się odblokowują. Zaczyna się zauważać pewne*

rzeczy i inaczej patrzy się na świat. Kiedyś byłam taką osobą, która przywiązywała wagę do detali, na które marnowałam strasznie dużo czasu...

RK: I energii.

IK: Zgadza się, i energii. Choroba nauczyła mnie pokonywania przeszkód. Coraz większą satysfakcję sprawiało mi to, że miałam kłody pod nogami i to, że je pokonywałam. Kiedyś, jak byłam zdrową osobą, robiłam wszystko, aby je obejść. Po zakończeniu leczenia większą satysfakcję mam z pokonywania trudności. Dlatego też powstał Kwiat Kobięcości. Mimo, że jest to trudny, delikatny, intymny, bardzo subtelny temat, udało mi się i... dziś mówi się o nim otwarcie.

RK: Wróciła pani z Indii i postanowiła założyć organizację?

IK: Nie, wtedy właśnie spotkałam się z dziennikarkami. To był punkt zaczepienia. Wtedy rozdzwoniły się telefony. To nie były krótkie rozmowy w stylu: „Hej, fajną bluzkę sobie kupiłam”. To był płacz i rozpacz kobiet, które dowiedziały się, że mają raka szyjki macicy. Pomoc polegała na opowiadaniu im o tym, co je czeka i dawaniu, przekazywaniu wiedzy, którą nabyłam, kiedy walczyłam o życie. Mówiłam kobietom o chemioterapii, jak będą się czuły, że podczas chemii będą wypadać włosy, więc lepiej je obciąć. Dawałam im rady na temat żywienia. Informowałam, do jakiego lekarza mają pójść, a jakiego unikać. To były takie techniczne rzeczy, które miały im pomóc przejść przez poszczególne etapy choroby. Otrzymywałam też e-maile. Organizacja nie była jeszcze zarejestrowana, a ja pracowałam zawodowo. Po dwunastu godzinach pracy wracałam do domu i widziałam pięćdziesiąt e-maili. Otwierałam je i okazywało się, że to nie były krótkie wiadomości, na które mogłam szybko odpisać. Trzeba było się skupić i każdej z kobiet konkretnie odpowiedzieć. Po około trzech latach przestałam pracować zawodowo i zaczęłam działać w Kwiecie Kobięcości.

Wtedy rozdzwoniły się telefony. To nie były krótkie rozmowy w stylu: „Hej, fajną bluzkę sobie kupiłam”.

To był płacz i rozpacz kobiet, które dowiedziały się, że mają raka szyjki macicy.

RK: Te telefony i e-maile potwierdziły, że jest obszar do wypełnienia. Po pierwsze pacjentka z rakiem czuje się zostawiona samej sobie. Po drugie, przed wyzwaniem, jakim jest walka z chorobą, chce wiedzieć co ją czeka. A takiej wiedzy ze strony personelu medycznego panie nie dostają.

IK: Tak jest. Jeśli idziemy do lekarza i coś zostało wykryte, to lekarz ustala nam drogę leczenia. Ona jest dopasowana do każdego pacjenta indywidualnie. Zawsze jest mało czasu na to, aby z pacjentką porozmawiać, żeby jej wszystko wytłumaczyć. Myślę, że tutaj chodzi o przekazanie wiedzy, nie typowo medycznej, technicznej: „Będzie pani dostawała zastrzyki i będą skutki uboczne”, ale potrzebna jest informacja o tym, że jak przyjdzie na zastrzyk, to żyła pęknie i może zastosować taką, a nie inną maść. Nikt też nie powie pacjentce, że aby lepiej się rana na brzuchu goiła, to powinna robić okłady z maści cebulowej, dzięki czemu w przyszłości blizna nie



będzie taka gruba. Nie ma czasu też na to, aby poinformować pacjentkę, by wstała z łóżka i nawet na siłę chodziła, bo jeśli tego nie zrobi, to zrobią się zrosty i będzie potrzebna kolejna operacja. To są właśnie takie rzeczy, które dowiadujemy się jedni od drugich, na korytarzu.

RK: Jakie były początki Kwiatu Kobiecości? Łatwe czy trudne?

IK: Nie wiem, czy one były trudne. Jestem bardzo emocjonalnie związana z Kwiatem Kobiecości. Jestem osobą, która każdą najmniejszą, pozytywną rzecz, jaka się wydarzy, przyjmuje i jest to dla mnie cudowne. To nie było proste, aczkolwiek bardzo dużo kobiet, które potrzebowały naszej pomocy, czekało na nią, więc nie miałam okazji zastanowić się nad tym czy było to trudne, czy nie. Ja to po prostu działałam, jeździłam na spotkania, konferencje, warsztaty.

RK: Pani sama jeździła?

IK: Na początku główną maszyną i jedyną osobą, która to ciągnęła, byłam ja. Osoby, jakie się pojawiły, służyły pomocą techniczną. Pierwsze biuro było u mnie w domu. Potem na Bielanach dostałyśmy maleńki lokalik. Tam się gnieździłyśmy, a folią zatykałyśmy okna, bo w zimie było tak potwornie zimno, że nie dało się wysiedzieć, mimo że kaloryfery grzały. Później było coraz lepiej i coraz więcej robiłyśmy. Powstała nasza pierwsza kampania, pierwsze programy edukacyjne. To wszystko okazało się bardzo potrzebne. Odpowiadaliśmy na potrzeby kobiet. Bardzo się wsłuchuję w kobiety. Staram się im dać to, co jest im potrzebne. Temu służy między innymi strona internetowa.

*Jestem osobą,
która każdą
najmniejszą,
pozytywną rzecz,
jaka się wydarzy,
przyjmuje i jest to
dla mnie
cudowne.*

RK: Jednak priorytetowym celem organizacji jest edukacja. Żeby kobiety miały świadomość, że regularne badanie cytologiczne ratuje życie.

IK: My, jako organizacja pozarządowa, która zajmuje się tym problemem, w żaden sposób nie straszymy kobiet. Straszanie paraliżuje. Jeżeli ja powiem kobiecie, że umrze z powodu raka szyjki macicy, to ona w życiu nie pójdzie do ginekologa - bo lepiej nie wiedzieć. Ale my edukujemy je w inny sposób. Mówimy do kobiety: „Słuchaj, jesteś fajna, chcesz być modna, chcesz być cool, to musisz raz w roku robić badanie cytologiczne”. I to, co chcemy jako Kwiat Kobiecości spowodować, to to by w ich myśleniu coś się zmieniło, by nie do końca czuły się fajnie w momencie, kiedy nie pójdą do ginekologa raz do roku. Żeby miały z tyłu głowy, że jak będą siedzieć u fryzjera, to pomyślą „Fajnie wyglądam, ale już dawno cytologii nie robiłam”. Chodzi nam o to, by czuły przymus wewnętrzny.

RK: Żeby ją sumienie z tego powodu gryzło?

IK: Tak (śmiech), żeby ją sumienie z tego powodu gryzło. Dlatego też stworzyłyśmy ginekologiczną bransoletkę niezapominającą. Za każdym razem, kiedy będą zakładać naszą jaskrawoczerwoną bransoletkę, będzie im ona przypominać o tym, że należy zrobić badanie cytologiczne.

RK: Czy są dane statystyczne, które mówią ile kobiet się bada?

IK: *Na samym początku, kiedy startowałyśmy z Kwiatem Kobiecości, dane statystyczne były fatalne, bo tylko 19% kobiet robiło wtedy cytologię. Mówimy tu o populacyjnym programie przesiewowym, bo tylko stamtąd dostępne były dane. Mnie wiele lat frapowało to, że nie ma informacji, jak wiele kobiet robi badania prywatnie. Dwa lata temu razem z MillwardBrown i Wirtualną Polską przeprowadziliśmy badania i wyszło nam, że w Polsce około 46% kobiet robi cytologię. Robi, bo nie wyszło nam w tych badaniach czy to jest co dwa, trzy, czy pięć lat. Dla porównania: w Szwecji co roku 85% kobiet systematycznie chodzi robić badanie cytologiczne.*

Ja, jako pacjentka, nie życzę sobie, by ktoś szafował moim życiem. I powiem wprost: jeżeli taki sprzęt ma pan doktor, to do widzenia. Radzimy paniom zejść z fotela i mówić: „Lubię do pana przychodzić, ale wrócę kiedy będzie miał pan odpowiedni sprzęt.”

RK: Czy docieracie do lekarzy?

IK: *Na początku docierałyśmy do lekarzy, a w tej chwili ten projekt tak się rozrósł, że lekarze sami do nas przychodzą i mówią, że chcą otrzymać od nas certyfikat. W certyfikowanym przez nas Gabinetcie Pod Kwiatkiem wisi dziesięć punktów, które dany lekarz spełnia. Jednym z nich jest to, by w gabinecie była szczoteczka do pobierania próbki cytologii, a nie patyczek z wacikiem.*

RK: Właśnie. Kiedy czytałem o programie, zastanowiło mnie to, że zwracacie uwagę na fakt, by badanie wykonywać przy pomocy atestowanych szczoteczek. Czyli może być inaczej? Mogą być używane, nieatestowane?

IK: *Niektórzy ginekolodzy nadal używają patyczka z wacikiem. I to jest dla mnie archeologia. Takie rzeczy nie powinny się dziać w naszym kraju i to w XXI wieku, ale niestety się dzieją. Różnica w cenie między patyczkiem a szczoteczką, to tylko 30 groszy. Ja, jako pacjentka, nie życzę sobie, by ktoś szafował moim życiem. I powiem wprost: jeżeli taki sprzęt ma pan doktor, to do widzenia. Radzimy paniom zejść z fotela i mówić: „Lubię do pana przychodzić, ale wrócę kiedy będzie miał pan odpowiedni sprzęt”. Wtedy lekarz traci pieniądze, bo traci pacjentkę. Tak czy owak będzie musiał się przystosować. Opowiem o pewnym przypadku. Dzwoni jedna z pań i mówi rozemocjonowana: „Zesłam z fotela”. Zapytałam, co się stało. „Chciał mi zrobić cytologię patyczkiem z wacikiem. Zesłam, wie pani. Ale był oburzony. Powiedziałam mu, że przyjdę, jak będzie miał szczoteczkę”. Ja jej powiedziałam, że bardzo dobrze zrobiła. I ona doprowadziła do tego, że ten lekarz zmienił postępowanie. Poszła do niego jeszcze raz i miał już szczoteczkę. I tak to powinno funkcjonować.*

RK: Drugim dużym tematem jakim się zajęłyście, jest problem z rakiem jajnika.

IK: *Ten temat zrodził się ponad dwa lata temu z potrzeb kobiet. Panie borykające się z rakiem jajnika często do nas pisały, bo nie miały do kogo się zgłosić. Postanowiłyśmy, że nasze działania będą dotyczyły chorób ginekologiczno-onkologicznych. Kolejnym krokiem będą informacje o mięśniakach i endometriozie. Systematycznie wdrażamy inne zagadnienia.*

RK: Jeżeli chodzi o raka jajnika, jakie badanie musi być wykonywane, by wykryć go we wczesnym stadium?

IK: Z rakiem jajnika najgorsze jest to, że nie mamy profilaktyki. To jest straszna choroba. Jedyna rzecz, jaką można zrobić, to dopochwowe USG, ale wtedy widać już wyraźnie guza i dowiadujemy się, że mamy nowotwór. Możemy zrobić testy na DNA, BRCA. To jest ten sam test, który robi się też przy raku piersi. Jeśli się okaże, że jesteśmy w polu rażenia, to trzeba siebie systematycznie obserwować. Musimy w tym momencie rozróżnić dwie sytuacje: rak szyjki macicy to jest wirus HPV i to jest zupełnie odrębna rzecz, rak jajnika to genetyka, czyli jak miała go mama, babcia czy ciocia, to również ja jestem w grupie ryzyka. Wtedy naprawdę trzeba być czujnym. Przy raku szyjki macicy wirus jest przenoszony drogą płciową i możemy go nabyć. Możemy go zwalczyć, albo się zabezpieczyć szczepionką przeciw HPV. Wirus może przerodzić się w raka, ale nie musi, bo w 80% przypadków organizm radzi sobie z nim sam. Na raka szyjki macicy chorują kobiety w różnym wieku, o różnym statusie społecznym. Najmłodsza dziewczyna z rakiem szyjki macicy, która się do nas odezwała, miała 16 lat, a najstarsza 75 lat. Przyznam, że były też kobiety, którym już nie udało się pomóc. Zmarły. To było dla nas bardzo trudne. Trzeba pomagać kobietom w taki sposób, żeby takie sytuacje się nie zdarzały.

W momencie gdy Ashoka zaczęła zadawać mi pytania, to uświadomiłam sobie, ile tak naprawdę zrobiłam. To było fantastyczne.

RK: Dzięki pani kontaktom ze znanymi osobami udało się pozyskać znane nazwiska do bycia ambasadorami poszczególnych kampanii. Kto was wsparł?

IK: Jest ponad trzydzieści ambasaderek, które się włączyły.

RK: Łącznie z Pierwszą Damą.

IK: Największą kampanią, jaką robimy, jest kampania „Piękna, bo zdrowa”. Co roku intensywnie edukujemy kobiety w styczniu, w okresie noworocznym. Niedługo nastąpi szósta odsłona tej kampanii. Wiemy, że jest ona ważna i potrzebna. Jest też pozytywnie odbierana. Od samego początku kampanii Pierwsze Damy – wcześniej pani Maria Kaczyńska, a teraz pani Anna Komorowska, obejmowały patronat nad naszą akcją. Są również inne, znane twarze, cudowne dziewczyny - ambasadorki, które włączają się w nasze działania. One nie są tylko twarzą na plakacie. Możemy liczyć na ich wsparcie. Na przykład na spotkaniach wyjazdowych: chcą opowiadać, wspierać, pomagać. To osoby, które chcą dać coś od siebie innym.

RK: Warto z tymi spotkaniami i osobami docierać do mniejszych i jeszcze mniejszych miejscowości.

IK: My takie rzeczy robimy. Kampania jest duża, ogólnopolska, medialna, trochę lifestyle’owa, ale podana w przystępny sposób. Stworzyliśmy inne programy, by spotykać się z kobietami twarzą w twarz. Są to trzy programy edukacyjne. „Młoda i Zdrowa” - skierowany do młodzieży z gimnazjum i liceum - rocznie docieramy do mniej więcej 15.000 młodych dziewcząt. „Rozumni i Uważni” - to program skierowany do studentek i studentów medycyny, pielęgniarstwa, położnictwa. Trzeci to program „Kobiety dla Kobiet”, skierowany do kobiet dojrzałych.

Docieramy zwłaszcza do urzędów miast i gmin w małych miejscowościach. W takich urzędach najczęściej pracują kobiety i czasem jest to dla nas punkt zaczepienia w danym regionie, by zacząć robić coś więcej i mocniej. Z tych spotkań wynikają kolejne, na przykład w szkołach.

RK: Jak pomoc wygląda od strony danych statystycznych?

IK: W tym roku na gali podsumowującej kampanie Kwiatu Kobiecości mogłam przekazać dane, z których wynikało, że udało się zmniejszyć statystyki umieralności kobiet z powodu raka szyjki macicy o czterysta ludzkich istnień. I mamy tendencję wzrostową. Uratowanych kobiet jest coraz więcej. Statystyki były takie, że co dwie minuty z powodu raka szyjki macicy na świecie umierała kobieta. W Polsce to było około 4.000 kobiet rocznie.

RK: Jak pani zareagowała na przyjęcie do grona członków Fundacji Ashoka?

IK: Byłam i jestem osobą bardzo zaangażowaną w Kwiat Kobiecości. W momencie kiedy Ashoka mnie znalazła i jej przedstawicielki przyszyły ze mną rozmawiać, po raz pierwszy usłyszałam pytania o statystyki, np. ile robię akcji, do ilu osób trafiłam. Przyznam, że nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Pomogło mi to zobaczyć, co tak naprawdę udało się nam zrobić przez ten czas. Codziennie robiłam swoje. Jechałam na drugi koniec Polski, rozmawiałam, spotykałam się. Tu akcja, tam akcja. Cyferek nigdy nie podliczałam. W momencie gdy Ashoka zaczęła zadawać mi pytania, to uświadomiłam sobie, ile tak naprawdę zrobiłam. To było fantastyczne.

RK: To jest tak jak ze wspinaczką w górach. Idziemy mozolnie pod górę. Idziemy, idziemy i w pewnym momencie odwracamy się, patrzymy do tyłu, a widoki zapierają dech w piersiach.

IK: To jest dokładnie tak.

Historia powstania organizacji Kwiat Kobiecości jest nieodłącznie związana z chorobą nowotworową jej założycielki, członkini Ashoki, Idy Karpińskiej, która w 2003 roku wygrała walkę z rakiem szyjki macicy. Trzy lata później powołała do życia Kwiat Kobiecości, ponieważ sama doświadczyła braku informacji i lęku o własne życie.

Dzisiaj organizacja ma swoje kwiatowe emisariuszki w całej Polsce, prowadzi akcje edukacyjne i kampanie społeczne.

Więcej o Idzie na www.kwiatkobiecości.pl oraz <http://poland.ashoka.org/fellow/ida-karpinska> -



KRZYSZTOF CZYŻEWSKI



Dla dialogu trzeba tworzyć język. Tworzyć, ciągle nieustannie, bo nie ma go gotowego. Ciągle musimy poszukiwać słów, sformułowań, ekspresji, wyrażeń, które by to coś nienazwanego wyrażały, lepiej, dokładniej, wiarygodniej. Często są to słowa „odpominane”, czyli przywracają na nowo sformułowania zepchnięte w niepamięć, zdeprecjonowane.

Rozmawiała Anna Galewska

Anna Galewska: Czerwień, na którą pomalowano ganek dworu w Krasnogrudzie nie jest przypadkowa, co oznacza?

Krzysztof Czyżewski: *Tak, podobnie motto, napisane na portalu, cytata z Oskara Miłosza „Biada temu, kto wyrusza i nie powraca”, niektórzy te słowa zabierają ze sobą. Dostaję bardzo wiele listów, opowieści, świadectw jak ważne było te kilka słów dla ludzi, często zmieniało ich życie. Tyle, że one muszą się pojawić w miejscu, w którym działają siły geomancji i odpowiednie barwy, tak samo jak amarant tego ganku, to specjalny rodzaj czerwieni. Jest on w naszym logu Pogranicza, zaznacza się nim terytorium wspólne, usytuowane między granicami, amarant towarzyszy nam od dawna. Wyraża coś, co nie należy do nikogo wyłącznie, a jest wspólne dla różnych ludzi, narodów, kultur.*

AG: Z drugiej strony to kolor ciepły, wyraźne przyciągający wzrok, zawłaszczający i porządkujący przestrzeń.

KCZ: *Ktoś może mieć skojarzenia z buddyjską pagodą, ktoś ma właśnie z samym ciepłem i dobrą energią, ale ten kolor również mówi o miejscu, że ono nie jest muzeum. Tutaj przyjeżdżają różni specjaliści, konserwatorzy zabytków i zwracają nam uwagę – tak nigdy dworek nie wyglądał. Jakim prawem Państwo tak zrobiliście? To wyraża się w naszym stosunku do dziedzictwa kulturowego, można by wejść w długą dyskusję na ten temat. Jedni uważają, że trzeba je zrekonstruować i umuzealnić, ja tego nie neguję, skansen też jest potrzebny w jakimś miejscu, ale jeżeli cała kultura ma przypominać skansen, to już tragedia.*

Amarant tego ganku, to specjalny rodzaj czerwieni. Jest on w naszym logu Pogranicza, zaznacza się nim terytorium wspólne, usytuowane między granicami.

AG: Skansen jest martwy i często bywa postrzegany jako coś nieatrakcyjnego, nudnego szczególnie przez młodych ludzi.

KCZ: Skansen odbiera miejsce lokalnej ludności, owszem oni mogą żyć z turystyki, ale to nie jest dla nich żywa kultura. Momentalnie tworząc w jakimś miejscu muzeum, zabieramy przestrzeń żywego uprawiania kultury miejscowej społeczności. A co to znaczy żywe uprawianie? To znaczy, że oni lubią eksperyment. To nie jest tak, że ludzie na wsi są tradycyjni, chcieliby

**„Zachować
przełamując.”**

**W takiej
postawie wyraża
się nasz stosunek
do dziedzictwa
kulturowego.**

zachować wszystko, tak jak było kiedyś. To jest stereotyp, który ma mieszcuch na temat odległych prowincji. Ci, którzy najbardziej nas bronili, ukochali amarantowy ganek, to byli oczywiście nasi sąsiedzi. To jest w ogóle miejsce, do którego przyjeżdża się z okolicznych miejscowości na sesje weselne, czy rodzinne w ogóle. Działa tu również siła przemiany, starego w nowe i pokazania już z daleka, słuchajcie to nie jest muzeum, tu nie będzie tak jak było, to istnieje, bo jest żywe, otwarte, bo się rozwija. Czesław Miłosz napisał nam w liście heglowską sentencję, abyśmy o niej pamiętali: zachować przełamując. W takiej postawie wyraża się nasz stosunek do dziedzictwa

kulturowego, je się zachowuje na długą metę, w długim trwaniu, tak naprawdę przełamując. To znaczy ciągle stawiając wyzwania, krytykując i stwarzając szansę rozwoju poprzez dialog właśnie.

AG: Czym przyciągnęło Pana to miejsce? Co sprawiło, że zdecydował się Pan związać swoje życie z Sejnami, Krasnogrudą i okolicą?

KCZ: Przyjeżdżałem tutaj jeszcze pracując w Gardzienicach na początku lat 80-tych. To były takie rekonesanse, które miały przygotować nasze wyprawy Gardzienickie do Litwinów i Staroobrzędowców. Spotkałem wówczas starych pieśniarzy między innymi Jana Jakubowskiego (Jonas Jakubauskas) z Żegar. Oni mnie w to miejsce wtajemniczali poprzez pieśni, poprzez spotkania ze starymi ludźmi w Dusznicy, w Krasnogrudzie, w Żegarach. W kolejną podróż do Sejn zabrałem Małgosię, z którą teraz wspólnie żyjemy i razem tworzymy Pogranicze.

AG: Jak określi Pan tę siłę przyciągania, która zatrzymała Was w tym miejscu i sprawiła, że zakorzeniliście się właśnie tutaj nie w Poznaniu, Warszawie, w Gardzienicach?

KCZ: Ten pierwszy magnez – to magnez starowieku, zanurzenie się w świecie, w którym rzeczywiście jakaś archaika panuje. Ludzie znali tu stare pieśni pamiętające pogańskie, przedchrześcijańskie czasy. Często nawet nie mówili po polsku, całe życie spędzali na łąkach pasąc konie i krowy, chyba że wojny wybuchały, które zaburzały wszystko wokół. Jestem daleki od idealizowania i nostalgii, ale to był dla nas niezwykle czas wejścia w niszę

*Ci ludzie byli po
prostu dobrzy.*

*Cechował ich rodzaj
namacalnej miłości,
gościnności, bardzo
głębokiej, która daje
wszystko.*

świata, w której coś starożytnego zostało, nie tylko w sensie kultury starej pieśni, też tego, co międzyludzkie. Ci ludzie byli po prostu dobrzy. Cechował ich rodzaj namacalnej miłości, gościnności, bardzo głębokiej, która daje wszystko.

AG: W czym przejawiała się ta gościnność i dobroć?

KCZ: Jan Jakubowski dostał zaproszenia na nasz ślub z Małgosią i przyjechał tylko z zapasową parą butów do Warszawy, podróżując całą noc. Zaśpiewał nam kilka pieśni i wrócił do domu. Pamiętam też jego spotkania z innymi ludźmi, z Anną Pietruszkiewicz, która nie mówiła ani słowa po polsku, ale oni tak śpiewali do siebie jakby wyznawali sobie miłość. Pierwszy raz o

*Drażnili go
wtedy dorośli
siedzący na
ganku dworu.*

*Powtarzali mu w
milczeniu -
poczekaj
młodziak
dorośniesz,
będziesz taki jak
my.*

takich rzeczach mówię, ale to było coś naprawdę ważnego i w pewnym sensie zobowiązującego. Jeżeli się przyjmuje gościnność od takich ludzi, to staje się ona zobowiązaniem na życie, choć wtedy jeszcze takich tajemnic nie znałem. I myślę, że właśnie to przyjęcie gościnności mnie z Małgosią do tego świata sprowadziło. Pamiętam był stan wojenny, kiedy tutaj kolejny raz przyjechaliśmy, szliśmy pieszo, bo nie kursował wtedy żaden autobus z Sejn do Krasnogrudy. W pewnym momencie zatrzymał się przy nas starszy człowiek z furmanką, wtedy sprzedawano wszystko na kartki. On zrobił zakupy na cały miesiąc dla rodziny, wiózł w furmance jakieś wędliny, kiełbasy i po paru słowach rozmowy, włożył nam to wszystko do plecaków. Nie mogliśmy odmówić, bo czuliśmy, że możemy go obrazić. Takie gesty, takie wydarzenia sprawiają, że my dzisiaj jesteśmy w tym miejscu i służymy. Próbuje oddać, to co się wtedy wydarzyło. Pytasz, o takie z pozoru niewinne rzeczy, jak o to, co ściągnęło mnie do miejsca, a widzisz, że jakieś ogromne siły magiczne za tym stoją.

AG: Przez długie lata rozwijali Państwo działalność fundacji Pogranicze w Sejnach. Jak dotarł Pan do Krasnogrudy?

KCZ: Krasnogruda objawiła się nam przez Czesława Miłosza. Kiedy po raz pierwszy zajrzałem tutaj do zarośniętego parku to miejsce wydało mi się kompletnie magiczne, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że związę z nim moje życie. I pojawił się kolejny powracający, spotkany na ścieżce, mistrz, który znał tajemnice Krasnogrudy, miał tutaj zapieczętowane swoje młodzieńcze przysięgi. Może właśnie na tym pomoście, na którym siedzimy obiecał sobie różne rzeczy na życie. Drażnili go wtedy dorośli siedzący na ganku dworu, powtarzali mu w milczeniu – poczekaj młodziak dorośniesz, będziesz taki jak my. Życie ma swoje konieczności i te wszystkie dziecięce marzenia i światy będziesz musiał porzucić. On jednak buntował się i pragnął pozostać wierny swojej dziecięcej wyobraźni, ta postawa została mu na całe życie. Po wielu, wielu latach wrócił jako starzec spowiadać się dziecku w sobie. To jest coś, co mnie bardzo wiąże z tym miejscem i z Miłoszem właśnie. Bunt, bo ja mam przecież ten sam bunt w sobie. Chciałbym, aby ludzie siadając na tym pomoście, na którym my siedzimy odnajdowali tutaj swoje przysięgi i zadawali sobie pytania.

AG: Jak wyglądało Pana pierwsze spotkanie z Czesławem Miłoszem?

KCZ: *Tak na ścieżce, zupełnie przypadkowo. Spacerowaliśmy po okolicy z Małgosią, a on przyjechał tu do po raz pierwszy po pięćdziesięciu latach, był 1989 rok, późny wrzesień. Jego brat Andrzej porwał go z lotniska w tajemnicy przed mediami i przywiózł do Krasnogrudy, nikt o tym nie wiedział. Byłem tak skonfundowany tym spotkaniem, że tylko przywitałem się. – Miłosz jestem – powiedział, my również się przedstawiliśmy i każdy poszedł w swoją stronę. W Sejnach przed Białą Synagogą, stanął przed nami jego samochód, z którego Miłosz wyskoczył i zawołał do nas, – no, co Wy tak uciekacie? Może byśmy porozmawiali? Zaprosił nas na wieczór do Wigier, do klasztoru kamedulskiego, gdzie się zatrzymał i tak przegadaliśmy całą noc. Myśleliśmy, że to będzie rozmowa o przeszłości, że dowiemy się jak kiedyś wyglądało to miejsce, nas to przecież fascynowało, wiedzieliśmy tylko, tyle co z książek, ale on nie chciał rozmawiać o przeszłości.*

AG: Co go interesowało?

KCZ: *Interesowało go to, co jutro, interesowali go młodzi ludzie, nowa Polska, nowa Litwa, nowa Europa Środkowa, więc wypytywał nas, co chcemy robić. Opowiadaliśmy mu o naszych marzeniach, wszystko to było zawieszane metr nad ziemią. Miłosz sprowadzał nas na ziemię takimi konkretnymi pytaniami i zatroskaniem o to, z czego będziemy żyli, do jakiej szkoły wyślemy dzieci, gdzie będziemy mieszkali. Byliśmy artystami, ludźmi teatru alternatywnego, dla których świat po roku 1989 roku stanął otworem. Jego niepokój wiązał się z tym, że nasze pomysły okażą się nie do zrealizowania, że to będzie dla nas tylko jedno z kolejnych spotkań po drodze. Mówił nam również, że jesteśmy pierwszym pokoleniem od wielu lat, które ma szansę po 1989 roku zakorzenić się naprawdę. Pokoleniem, które nie zostało skazane na wygnanie, emigrowanie ze wsi do miast, z prowincji do centrów, nie mówiąc o innych historycznych przesiedleniach, deportacjach, Sybirach. Tak ludzie żyli na pograniczu przez całe minione stulecia. Czesław Miłosz myślał, że ten rodzaj marzenia, które mamy ugnie się pod życiowymi koniecznościami i nie damy rady, że w którymś momencie powiemy, fajnie, ale życie ma swoje prawa i przygoda się kończy. My również w tamtym czasie odczuwaliśmy potrzebę zakorzenienia się, po naszych alternatywnych doświadczeniach, szukaliśmy dla siebie miejsca, w którym moglibyśmy się osiedlić. Czesław Miłosz był bardzo pomocny, nie tylko poprzez rozmowy, ale i liczne działania na rzecz fundacji. Poza tym cechował go swoisty rodzaj życiowej pragmatyki, aby nie poddać się i walczyć. Chęć walki stała się jednym z motywów naszej przyjaźni, która się wtedy zawiązała.*

*My byliśmy
bardzo otwarci
na to, co nas w
tym miejscu
spotyka.*

*Byliśmy
zasłuchani,
wiedzieliśmy, że
kompetencja jest
po drugiej
stronie.*

AG: W jaki sposób znajdował Pan wspólny język z mieszkańcami tych okolic, przekonał ich do inicjatyw i działań prowadzonych w fundacji Pogranicze?

KCZ: *Gdybym przyjechał tutaj jako artysta, wykształcony człowiek po Uniwersytecie z Poznania, który ma jakiś swój plan, swoją wiedzę, swoją mądrość, którą chce rozpropagować*



albo co gorsza, na którą chcę nawrócić miejscowych ludzi to pewnie marnie bym skończył. My byliśmy bardzo otwarci na to, co nas w tym miejscu spotyka. Byliśmy zasłuchani, wiedzieliśmy, że kompetencja jest po drugiej stronie. Taka postawa wynika pewnie z pierwszych spotkań, szacunku i wiary, że ten świat, który tutaj spotykam, ma swój głęboki wymiar, mądrość, a nie tylko to, co inni chcieliby mu narzucić, czyli zadupie, prowincjonalizm, ksenofobię, nacjonalizm, antysemityzm.

AG: To etykiety, skróty myślowe, które bywają krzywdzące.

KCZ: Można by takich etykietek ludziom i tym miejscom przylepiać nie wiadomo ile, ale to byłyby tylko półprawdy, nawet jeżeli dotyczyłyby ludzi, którzy brali udział w jakiś konfliktach narodowościowych, których było przecież wielu. Wielu ulegało ideologiom, lękom ksenofobicznym, antysemickim. Błędem byłoby również sądzić, że to cała prawda o tych ludziach. Nie można też zapomnieć o wszystkich innych, którzy od początku jakoś potrafili być silniejsi od nienawiści i nietolerancji szerzącej się w dwudziestym wieku. Silniejsi w swojej postawie, moralnej, etycznej, bo takich ludzi też wielu spotykałem. Pomyśleć, czy wymówić złe słowo o innym, czy w złej intencji uchodziło tutaj za grzech i coś bardzo wstydlivego.

AG: Użył Pan sformułowania, że kompetencja jest po drugiej stronie, jak je rozumieć?

KCZ: Kompetencja w sensie doświadczenia życiowego, wiedzy o pograniczu, mogliśmy wiele książek przeczytać, ale to była jedynie mała częśćka tego żywiołu, więc widzieliśmy, że naszymi autorytetami, nauczycielami, tymi którzy mogą nas w różne rzeczy wprowadzać są ludzie żyjący wokół nas. Myślę, że to jest zawsze najlepsza recepta dla człowieka, który chce wejść w jakąś społeczność czy wspólnotę: nie wiedzieć za dużo i dać ludziom mówić, choćby nawet miał jakiś rodzaj wiedzy to założyć, że nie jest ona wyczerpująca, i zaufać temu, że Ci pośród których się żyje mają wiele do powiedzenia.

Myślę, że to jest zawsze najlepsza recepta dla człowieka, który chce wejść w jakąś społeczność czy wspólnotę: nie wiedzieć za dużo i dać ludziom mówić.

AG: Jak mieszkańcy pogranicza przyjęli Was u siebie?

KCZ: Jestem im wdzięczny za to, że nie podstawili nas pod ścianą i nie powiedzieli albo będziecie tacy jak my – Polacy, Litwini czy jeszcze inni albo wyjeżdżajcie stąd. Zaakceptowali nas wraz z dziwnym ośrodkiem, który się pojawił niespodziewanie pomiędzy polskim domem kultury a litewskim domem kultury, w miejscu dawnego kwartału żydowskiego, w przestrzeni miasta będącego pograniczem właśnie. Ludzie pytali kim oni są? Jakby byli Polakami to jest polski dom kultury, jak byli Litwinami, to jest litewski. To kim Wy jesteście? Dach Pogranicza daje schronienie pamięci i obecności każdej inności związanej i z historią tej ziemi, jak i z rzeczywistością tu i teraz.

AG: Gdzie i jak szukaliście historii pogranicza?

KCZ: Część znaleźliśmy w książkach, dużą grupę stanowią historie opowiadane nam przez mieszkańców. Mówi się tak prosto, że to ludzie opowiadają, ale aby chcieli opowiadać zwłaszcza o trudnych sprawach, które stanowiły tabu przez lata muszą zaistnieć sprzyjające

warunki. Nawet, jeżeli właśnie tobie podarują swoją historię, to te opowieści są często formą daru. Daru, który rodzi zobowiązania. Niektóre osoby zaczynają snuć historię tuż przed odejściem, poszukując w niej sensu własnego życia, czynią z tego zwierzenia formę testamentu. Dramat tych, którzy nie mogli dać drugiemu swojej historii, był powszechny, ponieważ nowe pokolenie nie słuchało starszych. Kiedyś uczono się opowieści na pamięć, przekazywano ją w pieśniach, a potem przyszedł taki czas, że ani pieśni, ani książek, ani żadnej innej formy przekazu nie praktykowano. Musieliśmy obudzić potrzebę słuchania się nawzajem, znaleźć formę utrwalenia opowieści. Te podarowane nam historie żyją w książkach, w spektaklu, w bajkach animowanych tworzonych w naszej pracowni i innych formach przekazu, których wciąż poszukujemy.

AG: Jak wyglądało pierwsze spotkanie, kiedy udało się Wam zgromadzić ludzi różnych kultur, religii, narodów?

KCZ: Takim ważnym wydarzeniem zawiązującym naszą pracę w Sejnach, było pierwsze spotkanie, które zorganizowaliśmy w synagodze pod hasłem „Pieśni Starowieku”. Utworzyliśmy krąg z ludzi, przedstawicieli różnych kultur, religii, narodów zamieszkujących region. Byli wśród nich Polacy, Rosjanie, Ukraińcy - zesłani tutaj w ramach Akcji „Wisła”, Cyganie, grekokatolicy, prawosławni, protestanci. Śpiewaliśmy również żydowskie pieśni, których wcześniej nauczyliśmy się od naszych przyjaciół Żydów. W pewnym momencie nagle zrozumieliśmy, że tutaj się coś zupełnie innego dokonuje. Oni się po prostu spotkali, od wielu, wielu lat po raz pierwszy słuchali się nawzajem. Odzyskali coś, co odebrała im historia w XX wieku. Każdy żył w swoim osobnym świecie. To, że mogli posłuchać z szacunkiem swoich losów, było niezwykle. To spotkanie wyznaczyło kierunek naszej pracy.

*Dla dialogu
trzeba tworzyć
język. Mówię
dlatego tworzyć,
ciągle
nieustannie, bo
nie ma go
gotowego.*

AG: Stworzyliście przestrzeń wymiany myśli, wysłuchania drugiej strony, innego.

KCZ: Tego wieczoru wydarzyło się coś jeszcze, poprosiliśmy dzieci i młodzież sejneńską, aby przynosili światło z jednej do drugiej grupy. Świece oświetlały osobę, która snuła swoją opowieść, kiedy skończyła były przenoszone dalej. Ale co to znaczyło? Dzieci kucały, tam za tymi świecami i wsłuchiwały się, w to co mówią ich dziadkowie, sąsiedzi. Zobaczyliśmy wtedy, że Ci starsi, nie nam opowiadają swoje historie, a od tego, że inni je słyszą to równie ważne, a może nawet ważniejsze było to, że słyszą je młodzi. To doświadczenie pozostaje w naszej pracy do dzisiaj. Największą rzeszę opowieści, które później stały się scenariuszami, książkami, zgromadziły u nas dzieci.

AG: Opowieść zyskuje nowe życie, grono odbiorców, jest częścią tożsamości miejsca.

KCZ: Tutaj wracamy do sprawy daru, jeżeli otrzymujesz dar opowieści, spowiedź szczerą, prawdziwą, do końca, bolesną, to spoczywa na Tobie ciężar mądrości, którą musisz wprowadzić w obieg, tak aby nie zranić osoby, która Ci ją przekazała. Nie możesz dać jej łatwym efekciarzom czy tym z drugiej strony, którzy chcieliby przeciwko komuś ją wykorzystać, co nie znaczy, że masz trzymać kłódkę na ustach. Trzeba znaleźć mądry sposób na

wprowadzenie w obieg tej historii. Druga rzecz dotyczy formy, to musi być zrobione bardzo kunsztownie. Opowieść ma znaleźć kanał przenikania do życia innych ludzi, dlatego tworzymy spektakl, film, książkę, wystawę. To zobowiązanie i mówię to teraz jako artysta, sprawia, że do naszej pracy musi być przyłożona najwyższej próby ręka rzemieślnicza, artystyczna.

AG: Czerpicie z własnego wypracowanego wcześniej warsztatu artystycznego....

KCZ: *On jest tak kultywowany, nie dlatego, że mamy duże artystyczne ambicje. Wróciliśmy do siebie jako artystów właśnie poprzez moment spotkania z prawdą ludzi i z tym, że ktoś nam coś daruje. Na początku przestaliśmy być teatrem, zaczęliśmy słuchać, ale na nowo staliśmy się artystami właśnie ze świadomości, ciężaru, odpowiedzialności opowieści – daru, który ludzie nam powierzają.*

AG: Czy ten warsztat artystyczny sięga do praktyki Gardzienic?

KCZ: *Nie, to jest w ogóle jakoś biegunowo inaczej. W Gardzienicach był bardzo silnie rozwinięty warsztat pracy aktora z ciałem, z ekspresją psychosomatyczną. Tego u nas nie ma. Trudno tak pracować z dziećmi. W Gardzienicach sięgaliśmy do starych rytuałów, technik cielesnych, technik ruchu. Dla nas w Pograniczu ważne jest słowo, które tam prawie w ogóle nie istniało. Na obecności słowa i na budowaniu opowieści skoncentrowana jest nasza praca. Gardzienice były zawsze takim rozpalonym płomieniem, w którym centrum stanowiły epifanie obrazów światło – cielesnych.*

***Jeżeli otrzymujesz
dar opowieści,
spowiedź szczerą,
prawdziwą, do końca,
bolesną, to spoczywa
na Tobie ciężar
mądrości, którą
musisz wprowadzić w
obieg, tak aby nie
zranić osoby, która Ci
ją przekazała.***

AG: Jak wygląda praca nad Kronikami Sejneńskimi?

KCZ: *Kroniki Sejneńskie to taki mały epos lokalnej ojczyzny. W październiku odbyła się kolejna premiera nowego pokolenia, które przejmuje tę opowieść od poprzedników, ale też ją wzbogaca i rozszerza o kolejne elementy. Nasza praca teatralna żyje, zbiera w czasie swoją esencję, rozwija się. Rzadko zdarza się sytuacja, kiedy przygotowujemy jakiś spektakl, pokazujemy kilka razy, a później pracujemy nad następnym. Koncentrujemy się na opowieściach miejsca. Sejny mają swoje kroniki, Krasnogruda też miała swoje przedstawienie Dolina Issy zbudowane na bazie poezji Czesława Miłosza. Graliśmy ją tutaj przez lata, zanim odremontowaliśmy dwór.*

AG: W jaki sposób mieszkańcy okolic angażują się w działalność fundacji?

KCZ: *Organizujemy cykliczne otwarcia naszych pracowni, prowadzimy swoje szkoły. W sejneńskiej spółdzielni jazzowej dzieci w wieku przedszkolnym zaczynają grać muzykę, uczą się jej na jazzie orleańskim, a potem wchodzą w kolejne konstelacje muzyczne. Prowadzimy pracownię tkacką, ornitologiczną, teatralną, muzyczną, ceramiczną, plastyczną, filmową, animacji, pracownię starych receptur, uzdrawiających i zielarskich, spiżarnię, centrum dokumentacji kultur pogranicza. Każdy, kto chce może z nami działać.*

AG: Czym jest dla Pana dialog?

KCZ: *To przestrzeń do rozmowy – miejsce – agora i język, który służy nawiązaniu porozumienia. Dla dialogu trzeba tworzyć język. Mówię dlatego tworzyć, ciągle nieustannie, bo nie ma go gotowego. Ciągle musimy poszukiwać słów, sformułowań, ekspresji, wyrażeń, które by to coś nienazwanego wyrażały, lepiej, dokładniej, wiarygodniej. Często są to słowa „odpominane”, czyli przywracają na nowo sformułowania zepchnięte w niepamięć, zdeprecjonowane.*

AG: Jakie to słowa?

KCZ: *Na pewno, takim słowem jest pogranicze, ono dzisiaj brzmi pozytywnie, ale kiedy tu przyjechaliśmy tak nie było. Powiedzieć o kimś człowiek pogranicza, to było coś bardzo pejoratywnego, a nawet groźnego. To znaczyło, że nie jesteś czystym Polakiem, czystą Litwinką tylko jakimś mieszzańcem, a za to można było w XX wieku dużą cenę zapłacić.* **AG: Państwo przywrócili Człowieka Pogranicza, wydobyli na światło dzienne pozytywny kontekst.**

KCZ: *Tak, ale powtarzam dialog to język i miejsce. Agora – nie mieliśmy innego słowa na to miejsce w Sejnach, które stworzyliśmy. Bardzo dużą wagę przywiązujemy do tego w jakim miejscu toczy się dialog. Ono musi mieć swoją tradycję, energię, swoje siły telluryczne, duchowe, które wyzwalają jakiś rodzaj dynamiki, przemiany, przekraczania siebie. Dialog ma sens, też wtedy, kiedy zmienia świat, zmienia nas, ma siłę transformacyjną. To specyfika miejsca wpływa na porozumienie, na wytworzenie się różnych form dialogu, nawiązanie kontaktu, to tak jak amarant ganku, czy pomost nad jeziorem, nad którym siedzimy.*

Krzysztof Czyżewski – członek Ashoki, animator kultury, eseista, tłumacz, dyrektor Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Laureat nagrody Fundacji Dana Davida, w której uzasadnieniu napisano: "Czyżewski, pisarz, intelektualista i działacz społeczny, poświęcił się pracy nad włączeniem polskiej pamięci w tworzenie silnego społeczeństwa obywatelskiego we współczesnym świecie, zdolnego zgłębić skomplikowaną przeszłość i połączyć ją z budowaniem teraźniejszości i fundamentów przyszłości".

Więcej o Krzysztofie na <http://www.pogranicze.sejny.pl/> oraz <http://poland.ashoka.org/fellow/krzysztof-czyzewski>



BARBARA SADOWSKA



Mówię: „Stwórzmy miejsce dla osób z waszej gminy, które wydają się wam niezmiennalne i roszczeniowe. Pomogę wam stworzyć miejsce, gdzie ci ludzie zaczną się rozwijać i przestaną być dla was ciężarem.” Często spotykam się z ogromnym oporem Ośrodka Pomocy: „Co pani mówi? Pracuję w pomocy społecznej 20 lat, oni są niezmiennalni.” Wtedy tłumaczę, że owszem są niezmiennalni, ale w jakim systemie?

Rozmawiała Angela Greniuk

Angela Greniuk: Kiedy odkryła Pani u siebie chęć pomocy innym i spojrzenie na drugiego człowieka jako na pełną wartości osobę, mimo przeżytych przez nią głębokich kryzysów?

Barbara Sadowska: Miałam coś takiego od dzieciństwa. Nie wiem skąd. Pewnie ktoś mnie w tym kierunku kształtował. Kiedyś miałam ogromne marzenie, by zostać misjonarką w Afryce. A później zdałam sobie sprawę, że w Polsce misje też są potrzebne. Przykładowo, w mojej rodzinnej miejscowości widziałam dzieci sąsiadów. Ich ojciec pił, a one bardzo wagarowały. Miałam więc taką małą misję, żeby zdały do następnych klas i zaczęłam z nimi odrabiać lekcje. Dwóm z pięciu dzieci udało się pomóc. Była też jedna biedna staruszka, której zawsze przynosiłam kilka jajek z naszej hodowli. Myślę, że takie sytuacje były ważne w kształtowaniu osobowości, odkrywania w sobie współczucia i chęci „naprawy” czegoś.

AG: I przez takie nastawienie podjęła Pani studia z psychologii?

BS: Tak. Wybór psychologii był związany z moimi oczekiwaniami znalezienia drogowskazów jak rzeczywiście aktywnie pomagać. A zarówno na studiach, jak i praktykach niestety trafiłam na grupę psychologów, których interesy nie zawsze łączyły się z tym, czego szukałam. Zaczęłam się zastanawiać jak to jest z pomaganiem? Właściwie to człowiek przychodzi do jakiejś instytucji i powinien otrzymać pomoc. Co znaczy słowo „pomoc”? Ludzie przychodzą „po moc”. Po to, żeby dostać więcej mocy na zmianę swojego życia. A ta moc jest tak naprawdę najczęściej odebrana w instytucjach publicznych.

AG: Czy to był swego rodzaju przełom dla Pani?

BS: Oczywiście. To miało miejsce podczas praktyk zawodowych z psychologii klinicznej. Na studiach miałam wyobrażenie o psychiatrii jako obszarze, w którym ludzie rzeczywiście zagłębiają się w analizę problemu i różnych następujących procesów zachodzących w człowieku. Tymczasem, zderzyłam się z innym systemem - to było i nadal jest podejście biologiczne, czyli podawanie leków. Widziałam wielu

Co znaczy słowo
„pomoc”?

Ludzie przychodzą
„po moc”.

Po to, żeby dostać
więcej mocy na
zmianę swojego
życia.

młodych ludzi, całkowicie sparaliżowanych ogromnymi dawkami tabletek czy kropeł. Właściwie to ich świadomość została sparaliżowana – odbierali siebie samych jako nieprzystosowanych do życia. Ich kończyny były sztywne, mieli trudności ze zginaniem łokci czy kolan. To nie było to. Ja chciałam pracować nad rozwojem człowieka, nie czynić go zależnym od czegokolwiek. Razem z innymi stażystami i pacjentami zaczęliśmy organizować różne aktywności typu teatr, granie w piłkę nożną, wyjścia na zewnątrz, angażowaliśmy pracę w środowisku. Myślę, że przełomem było to, że nasza aktywność nie była wcale tak dobrze postrzegana w instytucji. Takie „wychylanie się” odbierano jako zamieszanie, „naginanie” lub łamanie ustalonych procedur i systemu zachowań, których kadra powinna przestrzegać. Dla mnie to było jakby przebudzeniem.

AG: Nie akceptowała Pani tylko ustalonego systemu w szpitalach czy w ogóle?

Takie „wychylanie się” odbierano jako zamieszanie, „naginanie” lub łamanie ustalonych procedur i systemu zachowań, których kadra powinna przestrzegać.

BS: W ogóle, niezależnie czy system odnosi się do szpitala, więzienia czy ośrodka pomocy. To działa tak samo. Człowiek tam słabnie, nie zmienia swojego sposobu myślenia, przestaje w siebie wierzyć i widzieć, że sam w sobie ma jakąś wartość, staje się zależny od systemu. Bo na czym polega pomoc systemu dla kogoś potrzebującego? Przykładowo, do ośrodka przychodzi człowiek, który od 20 lat dostaje zasiłek. Ja jako psycholog gabinetowy mam wyplatę i w ramach mojej pracy prowadzę kilkunastostronicowy wywiad z potrzebującym, stawiam diagnozę i tyle. Przez wszystkie lata ten człowiek ciągle jest w takiej samej sytuacji albo jeszcze gorszej, bo grozi mu eksmisja, a dzieci wagarują. Czy tak jak w szpitalach tworzą się sztuczne sytuacje typu „wyobraź sobie, że jesteś na łodzi, która się przewraca i co robisz?”. To nie jest prawdziwa pomoc. My żyjemy przecież w jakimś oszustwie! To widać gołym okiem. Natomiast, gdy razem z tymi osobami faktycznie wyjeżdżamy na żaglówki czy gramy sztukę to wszystko przebiega zupełnie inaczej! Ludzie zaczynają się angażować, opowiadać o swoim bogatym życiu wewnętrznym, przemyśleniach na różne tematy. Kiedy mówią, że rodzice ich nie rozumieją, że chcieliby robić w życiu rzeczy związane z np. kulturą, nie skupiać się tylko na zarabianiu pieniędzy. Kiedy zaczynają opowiadać o swoich miłościach i rodzinach. Ja wtedy mogę rzeczywiście poznać prawdziwy obraz danego człowieka.

AG: Podsumowując, z jakim nastawieniem skończyła Pani praktyki?

BS: Uważałam i nadal uważam, że przesłaniem psychologa, pedagoga, pracownika socjalnego jest animowanie różnych działań społeczno-przedsiębiorczych w środowiskach lokalnych. To tworzenie możliwości rozwojowych dla osób, które „ustały” po drodze, budowanie przyjaznego środowiska i warunków dla osoby bezrobotnej czy człowieka po szpitalu, pomoc w podjęciu pracy. W życiu człowieka zdarzają się kryzysy, ale jeżeli dana osoba jest dobrze przez nie przeprowadzona, przy wsparciu odpowiednich psychologów, psychoterapeutów czy pedagogów to kryzys może stać się nowym etapem w życiu człowieka. Kryzys nie może być końcem - zakotwiczeniem na rencie psychiatrycznej, bez zachęcania do dalszego rozwoju, poprawy swojego życia.

AG: I znalazła Pani wymarzone miejsce pracy.

BS: Tak. To był drugi przełom – rozpoczęcie mojej historii życia już poza psychiatrią. Mój mąż, Tomek, założył Ośrodek Rehabilitacji Psychiczej, a ja tam zaczęłam pracować. To było miejsce, w którym metoda działania była oparta nie na lekach tylko prawdziwej pomocy i współpracy z różnymi osobami.

Moje marzenia, wszystkie przemyślenia związane z psychiatrią zaczęły się realizować właśnie w tym miejscu. Pacjenci i my - kadra - jeździliśmy na przeróżne obozy. Razem przygotowywaliśmy posiłki, sprzątaliśmy. Angażowaliśmy ludzi do różnych prac, mające na celu integrację i łatwiejszą komunikację. Naprawdę poznawaliśmy ludzi. Miałam wiedzę psychologiczną, ale ona była uwięziona do oceny danego człowieka przez testy, psychoterapię w sztucznych warunkach. I nagle w tych naturalnych, rzeczywistych warunkach cała wiedza, której się uczyłam, runęła w gruzach. Od tamtego czasu nigdy nie wróciłam do bycia psychologiem gabinetowym. Tomasz ma takie same refleksje i dlatego przez to co robimy nie jesteśmy za bardzo lubiani przez naszą grupę zawodową.

BS: Bo wyszliście poza schemat? Dlatego?

BS: Tak, oczywiście! Zazwyczaj to jest model psychoterapeuty, który się doskonali i zdobywa kolejne szczeble jakiś teorii psychologicznych. A czasami więcej pożytku przyniesie jakiś instruktor zawodu, który ma ojcowski stosunek do człowieka i uczy go w praktyce np. układania kafelków czy tynkowania ścian. On jest w stanie zbudować w tym człowieku więcej poczucia wartości, bo jak coś takiego się wykona, potem wszyscy chwalą efekty. Kiedy dana osoba już się bardzo dobrze nauczy zawodu, my łączymy ją z firmą budowlaną, by miała praktykę! I za chwilę może będzie zatrudniona, prawda? I teraz czy można w sztucznych warunkach zbudować wiarę w siebie? Ależ nie, to muszą być realne sytuacje. To pomaganie musi być takie, w którym człowiek rozumie, że sam zmienia swoją sytuację, idzie do przodu, a nie stoi w miejscu czy nawet się cofa. Razem z Tomaszem wiedzieliśmy, że panujący system nie tworzy drabin rozwojowych dla ludzi, żeby mogli krok po kroku, miesiąc po miesiącu być w innej sytuacji. I dlatego musieliśmy stworzyć coś innego. I to się sprawdziło w stu procentach.

Czasami więcej pożytku przyniesie instruktor zawodu, który ma ojcowski stosunek do człowieka i uczy go w praktyce układania kafelków czy tynkowania ścian.

AG: Mamy już Pani motywację, która przyczyniła się do powstania Fundacji Barka. Skąd jednak wzięła Pani siłę, żeby podjąć tak odważną decyzję?

BS: Decyzję podjęłam w 1989 roku. To był szczególny czas, ale to postanowienie wynikało też ze sposobu wychowania przez mojego ojca, który był poważnym drogowskazem w moim życiu. Tata był patriotą, więźniem politycznym, AK-owcem, służył w Narodowych Siłach Zbrojnych, był ścigany przez Sowieców i Niemców. Ukrywał się przez wiele lat. Mimo ucieczki w Wielkopolskie został złapany i poszedł do więzienia. On zawsze mówił, że Ojczyzna wymaga absolutnie jednoznacznych odpowiedzi i decyzji życiowych, że nie można kalkulować. Od dzieciństwa ten wątek był obecny w moim życiu. I kiedy Polska odzyskała niepodległość, widziałam, że to niezwykły czas. Zmieniał się system, ludzie tracili pracę, wzrastało bezrobocie, ludzie tracili ducha, Kuroń próbował ich ratować kuroniówką. Ja to rozumiałam w ten sposób. Tak jak mój ojciec poszedł walczyć w 1939 roku jako partyzant, to w 1989 roku był mój moment na decyzję życia. Biorąc pod uwagę wszystkie moje wcześniejsze przemyślenia i doświadczenia, bez problemu razem z Tomaszem zdecydowaliśmy się zamieszkać w zrujnowanym budynku szkoły razem z grupą osób, które właśnie w wyniku transformacji ustrojowej straciły pracę, mieszkanie, ale także z ludźmi po więzieniach i poprawczakach. Wtedy powstała nasza pierwsza Wspólnota we Władysławowie w gminie Lwówek Wielkopolski.

AG: A jak na ten pomysł zareagowali znajomi i rodzina?



BS: *Wszyscy moi znajomi dziwili się bardzo, pytali mnie: „Jak można mając 28 lat, wziąć małe córeczki - jedną półtoraroczną, drugą siedmioletnią, a trzecia miała się dopiero urodzić - i zamieszkać z 40 ludźmi z więzień, szpitali itd.? W ogóle jak można?” Można, jeśli widzi się sens działania i jest się przekonanym, że postępuje się słusznie, że to będzie naprawdę dobre. Moja mama bardzo źle zareagowała na ten pomysł. A ojciec? Mimo tego, że tak mnie wychował to jednak kiedy zobaczył, że mieszkam razem z dziećmi i Heniem, który siedział w więzieniu i był wytatuowany na całym ciele, a w cholewce buta nosił nóż, to wtedy powiedział, że chyba za odważnie postępuję i chyba trochę przeliczam swoje siły. Ogólnie rodzice chyba przez trzy lata mieli z tym problem i nie przyjeżdżali w odwiedziny do Władysława.*

AG: Jak się przekonali?

BS: *Zaczęły powstawać pierwsze filmy np. „Tomasz i inni”, przedstawiające wyremontowany już dom - nasze wspólne „dzieło”. Uchwycono na taśmie moment naszej Wigilii, przeżycia, składanie życzeń, potrawy czekające na białych obrusach. Film był transmitowany w Telewizji Regionalnej. Myślę, że po obejrzeniu moja mama i inni znajomi zaczęli rozumieć, że u nas dzieje się coś niesamowitego. Nasi przyjaciele – domownicy są uczłowieczeni, modlą się przed posiłkiem. I od tego czasu rodzice stopniowo zaczęli nas odwiedzać. Potem odbyły się chrzciny mojej córki Jadziuni. Wszyscy razem siedzieliśmy przy stole, 40 mieszkańców i 20 gości. To było doświadczenie nie z tej ziemi, zarówno dla mnie, jak i dla naszych rodzin – mojej, mojego brata, dla rodziny Tomka.*

Ojciec mimo tego, że tak mnie wychował to jednak kiedy zobaczył, że mieszkam, razem z dziećmi, z Heniem, który siedział w więzieniu i był wytatuowany na całym ciele, a w cholewce buta nosił nóż, powiedział, że chyba za odważnie postępuję i chyba trochę przeliczam swoje siły.

AG: Mówiła Pani, że zamieszkaliście całą rodziną z osobami, które straciły pracę i dach nad głową, ale także z ludźmi po pobytach w więzieniach czy szpitalach psychiatrycznych. Czy na początku w jakiś sposób bała się Pani niektórych domowników?

BS: *Znaliśmy niektórych ludzi i byliśmy z nimi w jakiś sposób zaprzyjaźnieni, bo wcześniej pracowaliśmy w różnych instytucjach. Przykładowo, Tomasz przyjaźnił się z chłopakami w poprawczaku. Gdy założyliśmy Barkę, ci chłopcy dowiedzieli się, że Tomek, którego bardzo lubili jako wychowawcę, stworzył miejsce podobne do domu. Wtedy przychodzili i pytali czy mogliby z nami zamieszkać, bo nie chcą wracać do swoich rodzin, nie chcą wracać do alkoholu. Oczywiście wspólne życie przez pierwsze trzy lata było dość trudne. Musieliśmy z Tomaszem powoli zmienić nawyki i myślenie członków wspólnoty, że teraz jesteśmy rodziną i wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za utrzymanie domu, siebie, itd. Czy ja się*

bałam...? Może dwa razy rzeczywiście się bałam. Któregoś dnia przyszedł Andrzej, który 18 lat mieszkał w bunkrze ponemieckim, bo nie chciał po Domu Dziecka wracać do siebie z powodu alkoholizmu ojca i znajomych. I on naprawdę wyglądał jak człowiek z buszu – był zarośnięty, miał długie włosy, jakby wżartą ziemię w ciało i bardzo wielkie oczy. Odebrałam to tak, że miał jakąś dzikość w sercu. Rozumiałam, że to nie jego wina, bo przecież tyle lat żył w bunkrze, ale z drugiej strony... byliśmy my i mała Jadzia. Mówiłam wtedy mężowi, żebyśmy go nie przyjmowali, bo się go boję. A wtedy Tomek powiedział „Jak się boisz to zabieraj dzieci i do matki”.

AG: Pani Mąż jest chyba bardzo zdecydowanym człowiekiem?

BS: *Tak, Tomasz jest bardzo jednoznaczny, ale dzięki jego determinacji szczęśliwie przeszliśmy przez różne zakręty. W każdym razie, tego samego dnia na obiad przyszedł już inny Andrzej. Nasi chłopcy go umyli, ostrzygli i zadbali o niego. Został z nami. Później Andrzej opowiadał, że gdy szedł do Barki to bardzo mocno bał się odrzucenia, tego, że go nie przyjmą. Wiedział jak wygląda, a tak mu zależało, by z nami zamieszkać i mieć normalny dom. Stąd miał takie wielkie oczy. Wiesz, to naprawdę ma wielkie znaczenie czy podejdziesz do człowieka jak do człowieka, czy biurokratycznie. Będę się powtarzać, ale w normalnych, bezpiecznych warunkach nawet największy bandzior czy wariat normalnie, człowiek wyczuwa atmosferę i intencje innych osób. Teraz naszym zadaniem jest, by ośrodków takich jak nasza pierwsza wspólnota było jak najwięcej.*

AG: Niedawno świętowaliście 25-lecie Barki. Czy może Pani w skrócie opowiedzieć, co przez ten czas udało się Wam zmienić w Polsce?

BS: *We Władysławowie sprawdziliśmy nasz system zmiany człowieka, który okazał się słusznym. Chodziliśmy do kolejnych rządów i opisywaliśmy to, co można zmienić. Rozmawialiśmy z Jerzym Hausnerem, by wprowadził ulepszone ustawy i powoli udało się. Wprowadziliśmy ustawę o zatrudnieniu socjalnym o Centrach Integracji Społecznej, gdzie podstawą działania są przenikające się płaszczyzny wspólnej pracy, posiłków, edukacji i przedsiębiorczości. Dzięki temu w Polsce istnieje już 120 Centrów Integracji Społecznej. W 1995 roku byłam we Włoszech i widziałam niesamowite przedsiębiorstwo: ludzie po przejściach pracowali uzupełniając się nawzajem. Jedni pilnowali samochodów na parking, inni sprząkali, a trzeci ładowali tonery i atramenty do drukarek. Powiedziałam Włochom, że my chcemy takie miejsca stworzyć w Polsce. Przywiozłam ustawę „cooperativa sociale”, czyli o spółdzielniach socjalnych w wersji angielskiej do Polski. Przetłumaczyliśmy ją i znowu podaliśmy do rządu, żeby zainspirować zmiany w tym kierunku. Opracowany przez nas system istnieje, ale jego świadomość jest niewielka. Dlatego jeżdżę od gminy do gminy, od wioski do wioski i staram się pomóc.*

AG: Jak wygląda Pani wyjazd do miasteczka, w którym potencjalnie może być zbudowane Centrum Integracji Społecznej?

BS: *Najpierw należy zmienić myślenie władz. Spotykam się w grupie osób odpowiedzialnych za daną miejscowość: wójtem, burmistrzem, dyrektorem Ośrodka Pomocy Społecznej i innymi organizacjami. Mówię: „Stwórzmy miejsce dla osób z waszej gminy, które wydają się wam niezmiennalnymi i roszczeniowymi. Pomogę wam stworzyć miejsce, gdzie ci ludzie zaczną się rozwijać i przestaną być dla was ciężarem.” Często spotykam się z ogromnym oporem Ośrodka Pomocy. „Co pani mówi? Pracuję w pomocy społecznej 20 lat, oni są niezmiennalnymi.” Wtedy tłumaczę, że owszem są niezmiennalnymi, ale w jakim systemie? Rozdawania, nieoczekiwania niczego, braku budowy wzajemności. Państwo daje usługę, a on jest biorcą. To nie tak ma być. Ja tylko proszę o szansę na stworzenie programu edukacyjnego i przedsiębiorczości dla osób, które mają problemy i borykają się z wykluczeniem społecznym – za to też zostałam członkiem Ashoki. Dodatkowo trzeba oddziaływać na całe środowisko, czyli potencjalnych pracodawców, którzy mogliby zatrudnić lub przyjąć na staż bezdomnego, który najpierw został przeszkolony w naszym CIS-ie.*

Dzieci bardzo dobrze rozumieją człowieka.

Uważam, że niesamowicie ważne jest, aby dzieci dźwigały trudy już od małego. One muszą dawać coś z siebie, mieć jakiś udział w otoczeniu, w którym wzrastają.

AG: Mówiła Pani w trakcie rozmowy o tym, że w pierwszej wspólnocie mieszkali także Pani dzieci. Czy obecnie córki kontynuują pracę rodziców?

BS: Tak, wszystkie dzieci są zaangażowane w nasze środowisko. Najstarsza córka, Ewa prowadzi Barkę UK w Wielkiej Brytanii. Marysia jest na miejscu w Poznaniu i zajmuje się rozwojem przedsiębiorczości, bo teraz tworzymy 11 spółdzielni i ok. 70 miejsc pracy. Najmłodsza Jadziunia jest studentką, ale obecnie przebywa na urlopie dziekańskim w Irlandii – tam była potrzebna pomoc w rozwoju wspólnoty lokalnej. Myślę, że to wspólne życie było dla nich wielką wartością i raczej tak pozostanie. Dzieci bardzo dobrze rozumieją człowieka, były w tym duchu wychowywane i mają taki wzorzec życia. W ogóle uważam, że niesamowicie ważne jest, aby dzieci dźwigały trudy już od małego. One muszą dawać coś z siebie, mieć jakiś udział w otoczeniu, w którym wzrastają. Myślę, że to ukształtowało charakter dzieci.

AG: Zazwyczaj osoba, która pomaga też coś dostaje w zamian nawet z niematerialnych rzeczy. Jak było w Pani przypadku?

BS: Tak to było wzajemne pomaganie. My nigdy nie mieliśmy żadnych podopiecznych, bo panowało ogromne braterstwo. Mam poczucie, że posiadam wielką rodzinę. Praktycznie w każdym miejscu w Polsce mogę wstąpić do znajomych i bliskich osób. W moich relacjach czuję przyjaźń, szczerłość i prawdę. Nie mam poczucia fałszywych relacji, że ludzie coś zrobią bo muszą, ze strachu, z interesowności. To przede wszystkim ogromna radość dla mnie z odmienionych ludzkich historii. Nigdy nie odczuwałam wypalenia i mam poczucie, że moje życie jest ogromnie twórcze. Myślę, że ja sama zrobiłam ogromny postęp. Wiesz, jak dużo dobrego się robi to dostajesz taką moc, że masz większą możliwość oddziaływania na ludzi. Właściwie czuję, że otrzymaliśmy z mężem moc do zmiany Polski, a nawet Europy – przyjeżdżają do nas grupy z Anglii, Irlandii, Holandii, Francji, Niemiec. Ostatnio nawet z Afryki. W Nairobi powstał właśnie pierwszy program pomocy inspirowany naszymi działaniami. Jestem przekonana, że to sensowna droga w życiu, bo rozwija zarówno ludzi potrzebujących, jak i nas – oferujących pomoc. Tylko ta droga nie daje zabezpieczenia finansowego. Trzeba zawsze podejmować ryzyko, czy chcesz mieć twórcze życie czy bezpieczeństwo. Jak chcesz bezpieczeństwa to siedzisz w instytucji i dostajesz pewną wypłatę. A jak chcesz mieć twórcze życie to musisz choć trochę zrezygnować z poczucia bezpieczeństwa.

Barbara Sadowska – członkini Ashoki, psycholog, wiceprzewodnicząca zarządu Fundacji Pomocy Wzajemnej Barka; członkini Zarządu Barka UK, współtwórczyni systemu na rzecz integracji społecznej osób z grup wykluczonych i zagrożonych wykluczeniem społecznym (1989 – 2008). Od 1989 roku tworzyła wraz z rodziną pierwszą wspólnotę Barki we Władysławowie k/ Lwówka Wlkp. Mieszkając przez okres 8 lat wraz z osobami, które znalazły się w ekstremalnych sytuacjach życiowych w okresie transformacji ustrojowej.

Był to początek budowania fundamentu pod przyszłe programy reintegracji i gospodarki społecznej.

Więcej o Barbarze na <http://barka.org.pl> oraz <http://poland.ashoka.org/fellow/barbara-sadowska>



KUBA MARCHEWICZ

Myśmy się spotkali nie po to, by się zmieniać. Jeśli mówię, że cię polubię, pod warunkiem, że się zmienisz, to marnuję nasz czas. Jesteśmy razem, by nauczyć się ze sobą żyć. Czasem na ciebie krzyknę, ale i tak wrócę, nie pamiętając, że był jakiś konflikt.



Rozmawiała Beata Kołakowska

Beata Kołakowska: Jesteś Zmartwychwstańcem?¹

Kuba Marchewicz: *Ciągle się odwołuję do duchowości tego Zgromadzenia, a przede wszystkim do słów naszego założyciela Bogdana Jańskiego. Ten filozof i ekonomista napisał w swoim dzienniku, że „najwięcej dobra czyni się przez miłość, a nie przez logiczność pojęć”.*

BK: Logiczność pojęć?

KM: *Pod tym pojęciem mieszczą się systemy ekonomiczne i polityczne. Początek XIX wieku to dla Europy czas intensywnych zmian gospodarczych, industrializacji i migracji. Tysiące ludzie opuszczały wieś i trafiały do miast. Tam – zamiast lepszego życia – znajdowali nędzę. Jański obserwował w Paryżu tę całą niesprawiedliwość społeczną, brak zasad i norm, i nie zgadzał się na nie.*

*„najwięcej dobra
czyni się przez
miłość, a nie przez
logiczność pojęć”*

Bogdan Jański

BK: Twoim zdaniem niesprawiedliwość ma źródło w systemach?

KM: *Ma źródło w człowieku. Miłość zaś pozwala lepiej zrozumieć świat i budować więzi, tworzyć coś fajnego między ludźmi.*

BK: Tak jest w waszej Wspólnocie Burego Misia?

KM: *Ciągle powtarzam, że myśmy się spotkali nie po to, by się zmieniać. Jeśli mówię, że cię polubię, pod warunkiem, że się zmienisz, to marnuję nasz czas. Jesteśmy razem, by nauczyć się ze sobą żyć. Czasem na ciebie krzyknę, ale i tak wrócę nie pamiętając, że był jakiś konflikt.*

BK: To się wydaje trudne...

KM: *Nie da się żyć we wspólnocie, jeśli z szacunkiem nie akceptujemy się wzajemnie, nie wspieramy. Pamiętam jak Marcin trafił na Osadę. W ciągu kilku minut zniszczył prawie wszystkie meble w swoim*

¹ Zgromadzenie Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa Prowincja Polska – więcej na <http://www.zmartwychwstancy.pl/>

pokoju, krzyczał. Gdy do niego zajrzałem, leżał na łóżku, które jako jedyne przetrwało pogrom. Nie rozmawialiśmy, Marcin budził się tylko co chwilę i sprawdzał, czy wciąż jestem.

BK: Byłeś?

KM: Cóż innego można zrobić? Oczywiście, zdarzają się i banalne sytuacje, gdy jednak musimy poprosić kogoś z naszych przyjaciół, by się zmienił i po prostu.. umył.

BK: Wszystko zaczęło się w Krakowie?

KM: Tak, w 1983 roku. Wracając z wykładów spotkałem Piotrusia i jego mamę szukających toalety na Plantach.

BK: To dosyć prozaiczna potrzeba. Dlaczego Piotruś wywarł na tobie takie wrażenie?

KM: Bo zanim trafiłem do seminarium, przynajmniej przez dwa lata szkoliłem się na porządnego strażaka-ratownika, który potrafi zachować zimną krew w trudnej sytuacji, a... zostałem obsikany przez chłopca.

BK: Piotruś cię obsikał?

KM: Tak. W kurii przeniosłem go z wózka inwalidzkiego na kibelek. Niestety tak go usadziłem, że oblał mnie całego.

BK: Mama Piotrusia nic nie powiedziała?

KM: Nie musiała, bo od razu usłyszała rozbawione „Obsikałem go jak dzika kaczką”. Stałem z boku i myślałem „Człowieku, coś ty w życiu robił? Może i ludzi ratowałeś, ale nie umiesz posadzić dziecka porządnie na sedesie”.

BK: To było wasze jedyne spotkanie?

KM: Nie, jeszcze wiele razy widzieliśmy się na Plantach. Zawsze śmiał się, że mnie obsikał. Tak narodziła się nasza przyjaźń. Potem przygotowałem Piotrusia do Komunii Świętej, z czasem dołączyły inne mamy i inne „Piotrusie”.

BK: Ale od przygotowań do Komunii do Osady Burego Misia długa droga.

KM: Latem 1984 roku zabrałem moich przyjaciół na trzy tygodnie na Kaszuby. To był taki quasi harcerskich obóz dla niepełnosprawnych, których katechizowałem.

BK: Dlaczego nazwałeś ich Buryimi Misiami?

KM: Na tym pierwszym wyjeździe w 84' chciałem zachować chociaż namiastki obrzędowości harcerskiej: totemy, symbolikę, pocztę i pieczęcie. Nie miałem tylko nazwy, a nie chciałem, by nazywano nasz obóz obozem dla niepełnosprawnych. Siedziałem i myślałem nad nazwą, aż wpadła mi w oko kartka, którą otrzymałem z Poznania: „Pozdrawiamy cię, Bury Niedźwiedziu”. Taką ksywę miałem w

*Nie miałem tylko
nazwy, a nie
chciałem, by
nazywano nasz
obóz obozem dla
niepełnosprawnych.*

*Siedziałem i
myślałem nad
nazwą, aż wpadła
mi w oko kartka,
którą otrzymałem z
Poznania:
„Pozdrawiamy cię,
Bury Niedźwiedziu”.*

harcerstwie. Dobra, pomyślałem, mój niepełnosprawny przyjaciel będzie Burym Misiem a ja będę Burym Niedźwiedziem.

BK: Przyjęło się?

KM: Kiedyś przechodząc koło namiotów usłyszałem: „Nie zachowuj się tak. Bure Misie tak nie robią.”, więc chyba się przyjęło. Najgorzej było, kiedy w Watykanie odbył się kongres dla osób niepełnosprawnych i napisano, że w Kościele działają trzy skupiające ich wspólnoty: włoska „Comunita di Capodarco”, francuska „Wiara i Światło” i polska „Bure Misie”. Jak mój prowincjał to przeczytał, to powiedział „Widzisz, mówiłem, że to infantylna nazwa”.

BK: Ale jej nie zmieniliście.

KM: I nie zmienimy, nawet jeśli w sklepie pytają, którymi niedźwiedziami się opiekujemy – polarnymi czy brunatnymi.

Chciałem uniknąć sytuacji, w której powiem przyjacielowi, że nie wezmę go do siebie, bo mieszkam w małym pokoiku w klasztorze.

Zrozumiałem, że tylko osada spowoduje, że wspólnota będzie trwać.

– Jajeczniczki nie usmażysz?” Wtedy pomyślałem, że albo zbudujemy takie relacje między sobą, które zaspokoją wszystkie nasze potrzeby, albo stworzymy iluzję przyjaźni i będziemy tylko organizacją społeczną działającą na rzecz osób niepełnosprawnych.

BK: Wybrałeś trudniejszą drogę.

KM: **Chciałem uniknąć sytuacji, w której powiem przyjacielowi, że nie wezmę go do siebie, bo mieszkam w małym pokoiku w klasztorze. Zrozumiałem, że tylko osada spowoduje, że wspólnota będzie trwać.**

BK: Dlatego kupiłeś gospodarstwo w 1992 roku?

KM: Nie zastanawiałem się nawet chwilę. Co więcej myślałem, że skoro to jest takie trudne finansowo, to pieniądze na pewno się znajdą.

BK: I tak powstała wspólnota.

KM: Wspólnota powstawała w miejscach, w których pracowałem. Najpierw był Kraków, gdzie spotkałem Piotrusia. Potem Bytom na Śląsku, skąd po 3 latach wyjechałem do Poznania. Te trzy wspólnoty – małopolska, śląska i wielkopolska – tworzą obecnie wspólnotę Burego Misia. Jest w niej około pół tysiąca osób niepełnosprawnych wraz z rodzicami i wolontariuszami. Spotykamy się nie tylko na modlitwie i zabawie, również sobie pomagamy. Założyliśmy w banku krwi konto „Bury Miś” i jeśli trzeba, to oddajemy dla siebie krew.

BK: A jak powstała Osada Burego Misia w Nowym Klinczu?

KM: Kiedyś na obozie nad jeziorem Dobrogoszcz Bury Miś, Miniu, powiedział: „Kuba, zostańmy tutaj”. Odpowiedziałem, że nie możemy, przecież nie mamy gdzie mieszkać. A on na to: „W namiocie zostaniemy, dwa kocyki zimą weźmiemy”. Miniu – zapytałem – a kto będzie ci gotował? „No, ty! – odpowiedział.

BK: I zamieszkaliście w Nowym Klinczu...

KM: *Ależ tu nic nie było! Ani domu, ani ścieżki. Wszystko trzeba było wymyślić i zbudować, zastanowić się, co chcemy zasadzić. W tym czasie zmarli rodzice Romana i został on pierwszym Burem Misiem na Osadzie. Zapytałem, czy ktoś jest gotów z nim zamieszkać. Zgłosiły się Elwira i Magda. I tak to się zaczęło.*

BK: W zeszłym roku obchodziliście trzydziestolecie waszej wspólnoty.

KM: *Jesteśmy w takim okresie, że entuzjazm przestaje już nas napędzać i sami musimy wygenerować siłę, żeby ta łódź płynęła. Z drugiej strony, tyle spraw jest już uporządkowanych, że dziś dostrzegamy efekty wspólnej pracy i życia razem. Bywają takie dni, gdy siedzimy w kręgu, że trudno odróżnić Burego Misia od Burego Niedźwiedzia, pod względem zaangażowania w prowadzenie gospodarstwa, a nawet wiedzę i umiejętności.*

BK: Czym się głównie zajmujecie?

KM: *Syrowe gburstwo, czyli krowy, cielaki i, oczywiście, serowarnia.*

BK: W której warzycie, wasze słynne już, sery?

KM: *Tak. Hodujemy również świnię, lamy, kozy, owce, kury i konie. Ktoś powiedział, że nawet nasze świnię żyją w świńskim raju. On, co prawda, kończy się w ubojni, ale świnię od małego żyją na wolności, nie są zamknięte w chlewie. Bure Misie nie hodują ich wyłącznie dla zysku, ale cieszą się, że osiągają korzyści. Ostatnio po sprzedaży świnek, Witold rozmawiał z Magdą o wakacjach.*

BK: Czym jeszcze się zajmujecie?

KM: *Drugi obszar to „Zielona terapia”, czyli zioła pochodzące z naszego ogrodu oraz zbierane w okolicy. Zioła, które hodujemy, to melisa, lawenda, mięta, szalwia i inne. Natomiast po sąsiedzku znajdujemy lipę, malinę, pokrzywę i mniszek. Zbieramy też kwiaty czarnego bzu z przeznaczeniem na herbatę i syrop. Mamy tunele i pole z pomidorami. Produkujemy dżemy i sałatki z zielonych pomidorów, sałatkę jesienną.*

BK: A czym w gospodarstwie zajmują się Bure Misie?

KM: *W przypadku „Zielonej terapii” zbierają zioła i kwiaty, suszą i segregują je, a potem pakują susz do worków lub rozważają porcje do mniejszych torebek. Część ziół zostaje dla nas, resztę sprzedajemy.*

BK: I wszystko wystawiacie w sklepiku?

*Moim zdaniem
rolnictwo jest dla
każdego człowieka
niezwykle
atrakcyjnym
zajęciem.*

*Niebo, gwiazdy,
deszcz, słońce,
przyroda, zwierzęta –
wszystko to można
znaleźć w rolnictwie!*

KM: *W tym roku wyprodukowaliśmy 9 tysięcy słoików. Słoiki załatwił nasz kwestor, Grzegorz, warzywa i owoce mamy swoje, natomiast cukier dostaliśmy od przyjaciół.*

BK: To niewiele kupiliście.

KM: *Kwestor, chłopak bez profesjonalnego przygotowania, potrafi zaspokoić wszystkie nasze potrzeby. Nie kupujemy cukru, ryżu, kasz, rodzynek, orzechów włoskich. Podliczyliśmy wartość tego, co w ciągu roku załatwia Grzegorz – wyszło czterysta tysięcy złotych.*

BK: Zbieracie 1% podatku od dochodów?

KM: *Mamy 1%, poza tym renty i emerytury Burych Misiów, darowizny rzeczowe. Przede wszystkim jednak mamy swoją sprzedaż i krok po kroku zbliżamy się do samowystarczalności.*

BK: Chcecie być niezależni?

KM: *Obecnie sprzedaż serów, przetworów, wszystkiego, co produkujemy na Osadzie Burego Misia, znacznie przewyższa ten 1%. Dodatkowo, żeby się jeszcze bardziej usamodzielnić, chcemy mieć swój prąd. Planujemy stworzyć system paneli fotowoltaicznych oraz pionowych elektrowni wiatrowych, nie wiatraków! Mamy także w planach mikrobiogazownię.*

BK: Czyli jesteście prawie samowystarczalnym gospodarstwem prowadzonym przez wspólnotę przyjaciół.

KM: *Zarząd fundacji składa się tylko z Burych Niedźwiedzi żyjących tutaj, na Osadzie. Codziennie spotykamy się i zarządzamy dobrem wspólnoty, pielęgnujemy je i rozwijamy. Nie podpisujemy żadnej umowy z wojewodą na prowadzenie domu pomocy społecznej, ale jeśli jest projekt PFRONu na zakup samochodu dla niepełnosprawnych, to składamy wniosek i dostajemy dofinansowanie. My nie zastanawiamy się ani nad kosztem inwestycji, ani nad jej efektem. Wiemy tylko, że chcemy, na przykład, zbudować serowarnię, bo jest to droga we właściwym kierunku, to nas cieszy i rozwija. I bez znaczenia jest to, że brak nam środków. Gdybyśmy mieli wystarczającą ilość pieniędzy, to stalibyśmy się logicznymi ludźmi, którzy nie będą upatrywali siły w miłości, tylko w zwrocie inwestycji. Nie mówię tego często na zebraniu zarządu fundacji, ale to brak pieniędzy jest motorem naszego działania, a nie ich posiadanie.*

Gdybyśmy mieli wystarczającą ilość pieniędzy, to stalibyśmy się logicznymi ludźmi, którzy nie będą upatrywali siły w miłości, tylko w zwrocie inwestycji.

BK: Pieniądze by was przecież nie zabiły!

KM: *Przeciwnie! To ich brak jest warunkiem istnienia tego wszystkiego. Dzięki temu znajdujemy sposoby na to, żeby sobie poradzić z codziennością. Gdybyśmy ulegli pokusie znalezienia środków w strukturach państwowych lub kościelnych, tu akurat nie ma o czym mówić, to przestalibyśmy tworzyć rzeczywistość materialną w oparciu o nasze możliwości. Wszystko, co tu mamy, powstawało z myślą o drugim człowieku. Kiedy skończy się pasja w Burych Misiach i w Burych Niedźwiedziach, to będzie to*

koniec naszej niezwykłości życia, bo zaczniemy mierzyć, ważyć, analizować. Prawdziwym bogactwem wspólnoty są ludzie, którzy ją budują.

BK: Bure Niedźwiedzie to osoby w pełni sprawne intelektualnie i fizycznie. Jak trafiają do Osady?

KM: Rekrutują się z tych trzech wspólnotach: małopolskiej, śląskiej i wielkopolskiej. Do tej pory nie zatrudniliśmy nikogo z zewnątrz. Wszyscy mamy etaty, ale bardziej żyjemy ze sobą, niż pracujemy.

BK: Dlaczego we współczesnym świecie, tak bogatym w atrakcje i możliwości, wybierają życie z Buryimi Misiami?

KM: Każdy z Niedźwiedzi ma swoją historię życia; czegoś szuka lub przed czymś ucieka. Ale to prawda, współczesny świat daje wiele propozycji. Szczególnie mocno widać to na obozach, gdzie powoli zaczyna brakować Burych Niedźwiedzi, bo albo jest jakiś wyjazd, albo stypendium, albo praca w Anglii. Z drugiej strony, praca tutaj jest nieprawdopodobnie atrakcyjna.

BK: A co w niej takiego niezwykłego?

Jak Beniu lub Wojtek pędzą na wózkach elektrycznych, to dziadek woła do wnuczki: „Obserwuj, czy się nie przewróci.”

KM: Moim zdaniem rolnictwo jest dla każdego człowieka niezwykle atrakcyjnym zajęciem. Niebo, gwiazdy, deszcz, słońce, przyroda, zwierzęta – wszystko to można znaleźć w rolnictwie! A do tego ciekawostki, jak ciągnik lub mechanizacja. Są u nas możliwości i wyzwania, które wykraczają daleko poza przeciętne doświadczenia zawodowe ludzi. Weźmy taką Agatę. Jest szefową „Zielonej Farmy”, zajmuje się zielnikiem i hodowlą warzyw. Jesienią i zimą przygotowuje sadzonki do pomidorów, ogórków, a

potem ma kilka cieplejszych miesięcy na zbiory i produkcję 9 tysięcy słoików, które chcemy sprzedać. Zorganizowanie tego wszystkiego, to wyzwanie godne profesjonalistki! Nikt nie zaproponuje ciekawszej oferty pracy i życia, niż my w tym miejscu!

BK: Planujecie jeszcze rozbudowywać Osadę?

KM: Obecnie mieszka tu dwudziestu Burych Misiów i tyle samo Niedźwiedzi. Dom, który wkrótce powstanie, będzie ostatnim na Osadzie Burego Misia.

BK: Dlaczego?

KM: Z naszego doświadczenia wynika, że wspólnota ludzi, przyjaciół, którzy się rozumieją i szanują, nie może być większa niż 50 osób. Powstanie jednak kolejna Osada. Jakies 5 kilometrów stąd mamy gospodarstwo położone na zalesionym wzgórzu o pięknych polanach. Te dwa miejsca będą tworzyć jedną rodzinę.

BK: Udało wam się stworzyć wspólnotę również z waszymi sąsiadami.

KM: Wspólnota Burego Misia jest wspólnotą ewangeliczną. I ta Ewangelia nie jest rozumiana jako ideologia, tylko jako miejsce osobistego spotkania z drugim człowiekiem. Momentem przełomowym w naszych relacjach z sąsiadami było zbudowanie kaplicy siedemnaście lat temu.

BK: Zaczęli przychodzić na Mszę Świętą?

KM: *Od tamtej pory jest to ich kaplica, ich ksiądz, ich Bure Misie. Poza tym oni widzieli, że my tu pracujemy od rana do nocy. To się przekłada na tysiące uśmiechów, na codzienną życzliwość.*

BK: Przestaliście być obcy.

KM: *Jak Beniu lub Wojtek pędzą na wózkach elektrycznych, to dziadek woła do wnuczki: „Obserwuj, czy się nie przewróci.” W życiu chodzi o poznanie, zrozumienie i budowanie relacji, czyli to wszystko, co można znaleźć w Ewangelii.*

BK: Myślisz, że wspólnota poradziłaby sobie bez ciebie?

KM: *Sądzę, że tak, bo moi przyjaciele uwierzyli w to, co ja wierzę.*

Czesław „Kuba” Marchewicz CR – członek Ashoki, ksiądz zmartwychwstaniec zwany "Kubą". Kawaler Orderu Uśmiechu. Założyciel Wspólnoty Burego Misia. W 1984 roku z pomocą harcerzy i studentów zorganizował pierwszy Obóz Burego Misia. W 1987 roku ks. Czesław Marchewicz kupił małe gospodarstwo w Nowym Klinczu, które dało początek Osadzie Burego Misia, a następnie Fundacji Burego Misia. Od 1992 roku ks. Czesław Marchewicz mieszka i pracuje na Osadzie, opiekując się na co dzień osobami z niepełnosprawnościami intelektualnymi.

Więcej o Kubie na www.buremisie.org.pl oraz <http://poland.ashoka.org/fellow/kuba-marchewicz>



PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękujemy członkom Ashoki w Polsce za to, że są, za to, co robią, za ich czas i za rozmowy z nami.

Szczególnie dziękujemy wszystkim uczestnikom staży dziennikarskich ASHOKA SPECIAL MISSION, autorom tych i wielu innych ciekawych tekstów o Ashoce, które w różnych formach były i będą jeszcze publikowane:

Karolinie Anglart, Mateuszowi Chariaszowi, Annie Dąbrowskiej, Edycie Furze, Annie Galewskiej, Angeli Greniuk, Aleksandrze Kistowskiej, Beacie Kołakowskiej, Remigiuszowi Konieczce, Krysi Mańturzyk, Jagodzie Mytych, Katarzynie Paterek, Martynie Rubinowskiej, Małgorzacie Sobolewskiej, Marioli Stawińskiej, Leszkowi Sutule.

Dziękujemy także naszym ekspertkom i wolontariuszkom, które pomogły nam wybrać i opracować teksty do niniejszej publikacji – Iwona Drabot, Beata Kenig – jesteście cudowne!!!

Dziękujemy również Michałowi Olszańskiemu, Filipowi Springerowi, Kamilowi Krajewskiemu, Przemkowi Pohrybieniukowi i Adamowi Adamkowi za pomoc w poprowadzeniu spotkań edukacyjnych w ramach staży – Panowie, *chapeaux bas!*

Koordynatorką projektu i jego *spiritus movens* była Dorota Kruk, koordynatorka projektów Ashoki w Polsce - Dorotko..... (brak słów) 😊



ASHOKA INNOWATORZY DLA DOBRA PUBLICZNEGO
Al. Jerozolimskie 27 (5 piętro) | 00-508 Warszawa | Polska
Tel: +48 22 828 1320 | info_pl@ashoka.org |
<http://poland.ashoka.org>

